

DZISIAJ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII

Warszawa, dn. 12 lutego 1956 r.



ciu 9013

Nr 6 (532)

KONSTANTY LUBIENSKI

ŻYCIE RELIGIJNE I KATOLICYZM W STANACH ZJEDNOCZONYCH

I

GDYBYM miał krótko scharakteryzować Stany Zjednoczone, podkreśliłbym trzy, moim zdaniem, najważniejsze w tym kraju fakty: ogromny rozwój gospodarczy oparty o wysoki poziom techniki, rażąca dysproporcja pomiędzy rozwojem gospodarczym a rozwojem kultury w szerokim tego słowa znaczeniu i wreszcie stale postępujący naprzd rozwój religijności społeczeństwa amerykańskiego. W naszej publicystyce stosunkowo wiele poświęca się uwagi dwu pierwszym faktom, natomiast trzeci jest raczej pomijany, względnie poruszany marginesowo. A tymczasem życie religijne, to czynnik coraz silniej oddziaływający na rozwój Stanów Zjednoczonych, a pomijanie go nie pozwala na realistyczną ocenę tego kraju.

Szacuje się, że z początkiem XIX w. odsetek ludności przynależnej do Kościoła i grup wyznaniowych wynosił zaledwie 10—15% całej ludności. Na początku XX w. wzrósł do 36%. A więc zaledwie przed 50 laty zjawisko indyferencji religijnej jeszcze było dość powszechne, a przy tym wojujący ateizm nie był wówczas rzadkością. Obecnie sytuacja uległa radykalnej zmianie. Wg. ostatnio przeprowadzonej ankiety 68% obywateli Stanów Zjednoczonych wypowiedziało się jako przynależnych do protestantyzmu, 23% do katolicyzmu i 4% do judaizmu, a więc 95% uważa się za ludzi wierzących. Ateizm ogranicza się do nieznacznego odsetka ludności, a jego agresywność chyba zupełnie zniknęła.

Świadoma i pogłębiona przynależność do Kościoła czy do poszczególnych grup wyznaniowych jest niższa, jednakże coraz więcej, tzw. biernych sympatyków, staje się aktywnymi członkami społeczeństw religijnych.

Jednym z dowodów dynamiki wzrostu religijności w Stanach Zjednoczonych jest szybsze tempo wzrostu ilości członków społeczności religijnych, aniżeli tempo wzrostu ludności. W latach 1926 — 1950 ludność Stanów Zjednoczonych wzrosła o 28,6%, natomiast wzrost członków Kościoła i różnych grup wyznaniowych wyniósł prawie 60%.

Jakie są przyczyny tego rozwoju religijności? Mamy tu do czynienia ze spłotem najróżniejszych przyczyn. Postaramy się wskazać te, które wydają się najistotniejsze. Socjologicznym wytłumaczeniem owego zwrotu ku religii zajmują się Will Herberg w bardzo ciekawej książce „Protestant, Catholic, Jew” Doubleday et Company Inc. Garden City New York 1955. Wychodząc z założenia, że historia Stanów Zjednoczonych jest historią emigrantów, Herberg przedstawia stosunek do religii trzech generacji. Dla pierwszej generacji, tzn. dla przybyszów do Stanów Zjednoczonych, religia była jedynym elementem rzeczywistej ciągłości między starym a nowym życiem, a ponadto stanowiła podstawowy czynnik łączności etnicznej, przy czym pochodzenie etniczne określało wówczas przynależność społeczną w masie ludności zamieszkującej Stany Zjednoczone. W okresie bowiem największego nasilenia emigracji do Stanów Zjednoczonych, tzn. w drugiej połowie XIX wieku, całe życie tego kraju było uformowane po linii grup etnicznych. Sytuacja zmieniła się, kiedy druga generacja „nie chciała utożsamiać się z grupą etniczną swych rodziców, przeciwnie, chciała się pozbyć niepotrzebnego balastu”, który przeszkadzał jej w wejściu w orbitę życia amerykańskiego stwarzającego możliwości awansu społecznego. Wielu z tych, którzy pozbywali się szeregu cech etnicznych zrywało równocześnie z religią, jako „będnącą” częścią niepotrzebnego bagażu obcości”. W ten sposób stosunek do religii znacznej części drugiej generacji spowodował osłabienie religijności całego społeczeństwa. Jest to okres przełomu XIX i XX wieku.

Trzecia generacja dzięki wysiłkom drugiej osiągnęła pewien poziom dobrobytu, wyższy szczebel społeczny i uległa już w silnym stopniu amerykanizacji. Dla trzeciej generacji nie istniały już te konflikty, które przeżywała druga generacja w związku z jej przynależnością etniczną. Natomiast dla trzeciej generacji powstało zagadnienie przynależenia do jakiejś grupy społecznej w już dość jednorodnej masie amerykańskiej. Wydaje się bowiem, że człowiek zawsze dąży do jakiegoś umiejscowienia się w szerszej społecznej całości. Proces ten jest „zwykle procesem ukrytym, z którego jednostki mało zdają sobie sprawę, a dopiero w chwili kryzysów proces ten wylania się i wymaga od jednostki świadomej decyzji”. Tym czynnikiem umiejscowienia społecznego stała się dla trzeciej generacji właśnie religia, która z jednej strony nawiązywała do dziedzictwa przodków a z drugiej nie stanowiła już dla tej generacji owego „balastu etnicznego”.

Praktycznie powyższe zjawisko wyraża się tym, że obecnie na pytanie, kim jest nowo przybyła do miasta rodzina, Amerykanin odpowiada, że to katolicy lub protestanci. Natomiast przed stu laty, odpowiedziałby, że to Polacy, Irlandczycy, Anglicy lub Włosi.

Wśród różnych innych przyczyn socjologicznych zwrotu do religii na szczególną uwagę zasługuje to, co Herberg mówi o procesie przesuwania się z samo-kierownictwa sobą na kierownictwo przez innych. Herberg wychodzi z założenia, iż istnieją trzy typy ludzi, jeśli chodzi o zagadnienie kierowania człowiekiem. Typ kierowany tradycją, którego przykładem są wedle Herberga społeczeństwa chłopskie. Typ kierowany wewnątrznie, a więc człowiek, który kieruje się zasadami na podstawie wewnętrznego przekonania. I wreszcie typ kierowany przez innych, to ten rodzaj człowieka, który „dostaje i przyjmuje sygnały od innych osób”, który zajęty jest przede wszystkim przystosowywaniem się do otoczenia. Autor wyraża opinię, że ten typ kierowania coraz bardziej rozszerza się w Stanach Zjednoczonych przyczyniając się do rozwoju religijności, ponieważ być religijnym i przynależać do Kościoła czy grup wyznaniowych jest w warunkach amerykańskich podstawowym warunkiem owego przystosowania się. Umiejscowienie się w większej całości społecznej, na które zwróciliśmy uwagę powyżej, występuje w każdym warunkach, lecz staje się bardziej nagłą koniecznością, gdy typ ludzi kierowanych przez innych przeważa.

Wzrost religijności znajduje również swe uzasadnienie w dziedzinie moralnej. Niejednokrotnie stwierdza się w Stanach Zjednoczonych objawy upadku moralnego. W szczególności niepokojące zjawiska występują wśród młodzieży. W tych warunkach rodzice, jeśli nawet sami traktują religię powierzchownie, szukają w niej oparcia dla wychowania swych dzieci. W czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych spotykałem szereg osób indyferentnych pod względem religijnym, którzy jednak uważają religię za niezbędną konieczność utrzymywania moralności społeczeństwa. Tak więc poszukiwanie systemu moralnego powoduje zwrot ku religii, a w szczególności ku chrześcijaństwu.

Czy jednak najróżniejsze przyczyny natury socjologicznej i moralnej mogą w pełni wyjaśnić ów zwrot ku życiu religijnemu w Stanach Zjednoczonych? Sądzę, że nie. Dla nas, katolików, chyba tą przyczyną najistotniejszą jest zakorzenienie w naturze ludzkiej potrzeba życia religijnego. Ta potrzeba, jak widzimy na przykładzie Stanów Zjednoczonych, nie tylko nie słabnie na skutek rozwoju gospodarczego, postępu techniki, wzrostu dobrobytu, lecz nawet stale wzrasta. Okazuje się, że osiągnięcie wysokiego poziomu rozwoju materialnego, przekazuje człowieka praktycznie, że na tej drodze nie może osiągnąć pełnego szczęścia. Ślad zwrotu ku religii, która otwiera drogę ku osiągnięciu szczęścia najwyższego. Chocbyśmy najbardziej krytycznie ocenili życie religijne w

Stanach Zjednoczonych i w sposób najbardziej historyczno-socjologicznie tłumaczyli ożywienie życia religijnego, musimy dostrzec, że tym czynnikiem podstawowym wokół którego dopiero zaczepiają się wszystkie inne czynniki jest religijny charakter natury ludzkiej, tzn. że potrzeba życia religijnego jest integralnie związana z naturą ludzką. Jest to widoczne w szczególności wówczas, kiedy najróżniejsze potrzeby ludzkie są już w wysokim stopniu zaspokojone, a kiedy głód Boga nie ustaje i wyraża się w rozwoju życia religijnego, choć ono jest w pewnych okresach powierzchowne. I to jest — jak się zdaje — przypadek Stanów Zjednoczonych.

Stwierdzając wzrost religijności,

hipokryzja, lecz — tak właściwie wielu Amerykanom — komercyjne traktowanie wszystkiego. Kryterium pieniężne wydaje się najprostszym kryterium wartości. Po co łamać sobie głowę różnymi skomplikowanymi rozważaniami, kiedy można wartość (syntezę różnych wartości) wyrazić w cenie. Poniesienie zatem kosztu zakupu Pisma Świętego, wydaje się dla wielu Amerykanów najważniejszą formą wyrażenia swych uczuć religijnych, wobec czego zapoznanie się z treścią Pisma Świętego jest czymś drugorzędnym, a może nawet zbędnym. Trudno mi ustalić, jaka część społeczeństwa amerykańskiego zajmuje taką postawę. Będąc w Stanach Zjednoczonych odniosłem wrażenie pogłębienia się życia religijnego, jednak-

odpadało od Kościoła w szczególności z powodu braku duchowieństwa i luźnej organizacji kościelnej. Ponadto przyczyną stracił, jakie ponosił Kościół, był fakt, że katolicy — przeważnie emigranci — przybywali do kraju, który był prawie całkowicie protestancki, a w owym czasie protestantyzm był ogólnie identyfikowany z amerykanizmem. Przejście na protestantyzm oznaczało amerykanizowanie się, co niosło za sobą znaczne korzyści na każdym polu. W początkach XIX w. wydało się, że Kościół katolicki, nie ma żadnej przyszłości w Stanach Zjednoczonych i że ograniczy swą działalność do kilku ośrodków. Okresem zwrotnym w rozwoju katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych był okres 1840—1850, w którym na-

Decydującym jednak czynnikiem załamania się separatyzmu był rozwój gospodarczy kraju powodujący znaczne ruchy ludnościowe, co w ogromnej mierze naruszyło istniejące skupiska etniczne. Równocześnie dzięki wspólnemu językowi angielskiemu, Irlandczycy stawali się pomostem pomiędzy społecznością katolicką a resztą społeczeństwa amerykańskiego. Katolicyzm, który Irlandczycy przywieźli ze sobą, był mniej obcy w oczach amerykańskich niż każdy inny. Był to katolicyzm przemawiający po angielsku, purytański, demokratyczny, ludowy i bardzo czynny z małą intensywnością życia wewnętrznego.

W rezultacie dzięki Irlandczykom katolicy w Stanach Zjednoczonych ulegli procesowi asymilacji stając się częścią składową społeczności amerykańskiej. Fakt ten ułatwił rozwój katolicyzmu w całym kraju. Asymilacja ta jest tak silna, że katolicy stali się „szampionami amerykanizmu”, jak to stwierdza autor artykułu o katolicyzmie w Stanach Zjednoczonych, zamieszczonego w „Actualité Religieuse dans Le Monde” nr 9—10/53. „Dziś — czytamy w tym artykule — instytucje, które zostały stworzone do celu zachowania wiary w stanie nieskazanym, zaczynają uchodzić w oczach katolików za jeden z podstawowych rysów amerykańskiego stylu życia. W utrzymaniu tych instytucji widzą katolicy nie tylko gwarancję dla ich własnej wiary, lecz również gwarancję utrzymania tradycji amerykańskiej”. Zespolenie katolicyzmu z amerykanizmem, przy zachowaniu doktrynalnej czystości katolicyzmu, to zjawisko mające podstawowe znaczenie zarówno dla rozwoju katolicyzmu, jak i dla kształtowania się życia społecznego w Stanach Zjednoczonych. Wskazując znaczenie Irlandczyków dla rozwoju katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych, trzeba również podkreślić rolę Polaków, którzy na przełomie XIX i XX w. zwiększyli znacznie liczebność katolików i stanowią obecnie ca 15% ogółu katolików w Stanach Zjednoczonych. Jednakże mimo znacznej liczebności udział Polaków w hierarchii Kościoła jest bardzo ograniczony.

W latach 1942—1955 ilość katolików w Stanach Zjednoczonych wzrosła o 11 milionów tj. o 50%. Dynamika wzrostu jest coraz silniejsza ze względu na dużą ilość urodzeń w rodzinach katolickich (wyższe od przeciętnej) oraz ze względu na nawrócenia, które obecnie szacuje się na ca 150 tys. rocznie. W 1954 r. Kościół katolicki liczył 32,403 tys. (1,5 ludności) członków zorganizowanych w 105 diecezjach, 26 archidiecezjach. Episkopat składa się z 4 kardynałów (trzech pochodzenia irlandzkiego, jeden niemieckiego), 45 tysięcy księży świeckich, 180 tys. osób w zakonach, w tym 154 tys. siostr. Ilość kościołów wynosi 30 tys. W okresie 1940—1955 buduje się rocznie 150—200 kościołów.

W życiu społecznym katolicy wykazują szczególną aktywność na terenie akcji charytatywnej, innymi słowy opieki społecznej i oświatowo — kulturalnej, a zatem w tych dziedzinach, którymi państwo zajmuje się w ograniczonym zakresie, 90% szkół prywatnych są to szkoły katolickie. Szczególnym przedmiotem dumy katolików są uniwersytety, których poziom jest dość wysoki. Szeroki rozwój wykazuje prasa katolicka, obejmująca 100 dzienników diecezjalnych, 2 dzienniki ogólnokrajowe, 29 dzienników w obcych językach (nie angielski), 395 periodyków i 31 w obcych językach. Na terenie robotniczym nie ma obecnie katolickich (ani żadnych innych wyznaniowych) związków zawodowych, tak np. jak we Francji czy Niemczech Zach., natomiast szereg działaczy katolickich zajmuje w nich czołowe stanowiska. Na podkreślenie zasługuje akcja Kościoła przeciwko dyskryminacji Murzynów. Akcji tej przeciwstawia się niestety pewna część katolików, jednakże większość ją popiera. Przed kilkoma laty OO Jezuici zainicjowali tzw. „Ruch Międzyrasowy”, którego celem jest likwidacja mentalności rasistowej (Dokończenie na str. 2)



a ściślej mówiąc skierowanie się amerykańskiego społeczeństwa ku życiu religijnemu trzeba właśnie podkreślić fakt często występującej powierzchowności. I tutaj statystyka przynosi ciekawe materiały. Podobno roczny nakład Pisma Świętego, który jest rozprowadzany, wynosi ponad 9 milionów egzemplarzy. Lecz kiedy w ankiecie zapytano o imiona ewangelistów, to 53% uczestników ankiety nie umiało na to pytanie udzielić odpowiedzi. A więc wiele osób kupuje, lecz nie czyta Pisma Świętego. Czy kryje się w tym jakaś hipokryzja? Z pewnością i to zjawisko występuje. Jako dowód narzucia się ów przerażający fakt, że Truman-chrześcijanin wydał decyzję rzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki i to ponoc jeszcze przed wydaniem tej decyzji — modlił się. Jednakże w przeważającej ilości wypadków sądzą, że przyczyną takiej sprzeczności nie jest

że zjawisko powierzchowności jest jeszcze bardzo rażące.

II

WŚRÓD różnych religii szczególnie silny rozwój w Stanach Zjednoczonych wykazuje katolicyzm. Rozwój ten wystąpił dopiero w ostatnich dziesięcioleciach lat, a poprzedził go długi okres wegetacji, względnie kurczenia się społeczności katolickiej. W Ameryce kolonialnej sytuacja Kościoła była trudna ze względu na nietolerancyjne stanowisko protestantów. Dopiero pewne odprężenie przyniosła rewolucja. W 1789 r. została założona pierwsza diecezja w Baltimore, przy czym ordynariuszem Biskup Carroll posiadał jurysdykcję na wszystkich stany.

Ilość katolików w owym czasie wynosiła 40.000 wobec 4.000.000 ludności Stanów Zjednoczonych. W XVIII i XIX w. wielu katolików

Dni 191 092

Głównym terenem tego ruchu jest Nowy Jork i Luizjana (południe). Prowadzi on propagandę czystości i wniechęca powodem na rzecz zniesienia segregacji w kościołach i katolickich zakładach naukowych. Walka przeciw dyskryminacji rasowej wiąże się oczywiście z apostolstwem wśród Murzynów. Na ca 15 milionów Murzynów w Stanach Zjednoczonych zaledwie 400.000 jest katolików. Jednakże w ostatnich latach stale wzrasta ilość nawróconych.

III

ROZWÓJ katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych wyrażający się przede wszystkim wzrostem ilości członków Kościoła i ogromną aktywnością na terenie społecznym jest niewątpliwym faktem. Stwierdzając ten fakt, trzeba również zwrócić uwagę na zjawiska ujemne, które budzą poważny niepokój. Aktywność na terenie społecznym, a więc aktywność zewnętrzna jest tak silna, że nie pozostawia wiele miejsca dla wewnętrznej życia religijnego. Spotkać można opinie, że postawa wielu katolików amerykańskich jest bliska tego stanu, który Pius XII określił jako herezję czynu. Herezja czynu wynika z przekonania, że świat może być zbawiony przez zewnętrzną aktywność, a polega po prostu na podporządkowaniu cnót nadnaturalnych cnotom naturalnym.

Omawiając ogólną sytuację religijną podkreślił, że życie religijne w Stanach Zjednoczonych jest mimo jego ożywienia dość powierzchowne. Zjawisko to występuje również w katolicyzmie, choć może w mniejszej mierze aniżeli w protestantyzmie. Powierzchność ta wyraża się w egocentrycznym a nie teocentrycznym pojmowaniu religii. Bóg powinien służyć człowiekowi, a nie człowiek Bogu — oto wniosek wynikający z takiej postawy. Spotkałem się z opinią, że wielu katolików traktuje religię jako „efortię duchową”, a zatem jako instytucję potrzebną do spokojnego a zatem i wygodnego życia. Trzeba jednak podkreślić, że występuje coraz silniej inny nurt, który byśmy określili katolicyzmem głębi, który coraz silniej obejmuje młodzież, a który znajduje najlepszy wyraz w szerokim rozwoju zakonów kontemplacyjnych.

Szczególny niepokój budzi oblicze polityczne katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych. Wiadomo, że na ogół zainteresowanie zagadnieniami politycznymi jest w tym kraju małe, jednakże wydaje się, że wśród katolików jest sytuacja nieco odmienna — zainteresowania polityczne są żywsze aniżeli w innych środowiskach. Wśród katolików można zauważyć dwa zasadnicze nurty polityczne. Jeden antyliberalny, szowinistyczny w stosunku do przeciwników ideologicznych, propagujący idee krucjat, antydemokratyczny, o wyraźnych zapędach faszyzowskich, drugi — liberalny i demokratyczny. Ten pierwszy nurt wywołał swojego czasu wystąpienie Paul Blansharda (Catholic Power and American Freedom), który wysunął tezę, iż katolicy osiągnąwszy większość (co uważa za możliwe) zagrożą demokracji amerykańskiej i stworzą państwo totalitarne. Nie przecząc, że wystąpienie Blansharda wpływało na zasadniczej wrogosci w stosunku do katolicyzmu, trzeba jednak przyznać, że miał on pewne podstawy do niepokojów, skoro wkrótce po tym wystąpieniu zjawiał się Mac Carthy, który jest katolikiem i który w każdym razie w pierwszej fazie swej działalności znalazł wyraźne poparcie ze strony poważnych osobistości świata katolickiego. Obawiam się, że nie tylko ten nurt, którego tak zastraszającym przykładem jest maccarthyizm, jest dominującym wśród katolików amerykańskich. Świadczą o tym wypowiedzi różnych duchowych świeckich osobistości czy też artykuły w prasie katolickiej, które nie szukają konstruktywnych rozwiązań istniejących problemów międzynarodowych, lecz szerzą demagogię będącą w całkowitej sprzeczności z dążeniem narodów do pokoju i do znalezienia warunków współżycia i współpracy wszystkich krajów niezależnie od różnic ustrojowych. Temu nurtowi przeciwstawia się inny, który określimy jako liberalny i demokratyczny, choć jest też antykomunistyczny, lecz w każdym razie przeciwny faszyzowskiemu metodom w walce z komunizmem. Przedstawicielem tego nurtu jest biskup sufragana Chicago Bernard Sheil, który wystąpił zdecydowanie przeciw maccarthyzmowi, znanąca szerokie poparcie w masach katolickich jak również w hierarchii. Są też wśród katolików amerykańskich środowiska, które wyraźnie postępują pod względem społecznym rozwijając się pomimo wielu poważnych trudności, z którymi spotyka się w tym kraju każdy, kto krytycznie ustosunkowuje się do modelu amerykańskiego.

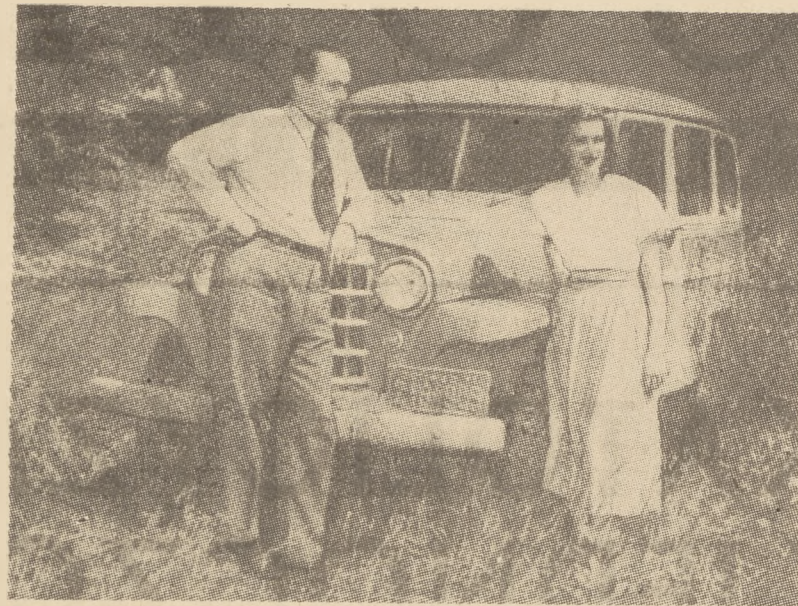
Co można powiedzieć o przyszłości katolicyzmu amerykańskiego? Wskazywaliśmy na różne tendencje występujące w dziedzinie społecznej i ściśle religijnej. Rozwój katolicyzmu będzie zależał w dużej mierze od tego, które z tych tendencji osiągną przewagę. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, iż katolicyzm w Stanach Zjednoczonych będzie w coraz większym stopniu siłą polityczną, a nie religijną. Moralną są jednak nadzieje, że proces upolitycznienia ulegnie zahamowaniu i katolicyzm będzie spełniał funkcje zgodne ze swym posiadaniem. Istnieje problem, czy katolicy amerykańscy pójdą za Mac Carthym czy też za Tomaszem Mer-tonem.

Konstanty Lubiński

Poniżej drukujemy fragment książki pt. „Nouvelle aventure en Afrique“ (Nowa przygoda w Afryce) napisanej przez Jacques Hebert, znanego katolickiego dziennikarza kanadyjskiego. Bawił on w ub. roku w Polsce, biorąc udział w uroczystościach ku czci Adama Mickiewicza. „Jadę do Polski — pisał w wydawanym przez siebie postępowym katolickim tygodniku „Vrai“ — nie dlatego, żebym odczuwał jakąś specjalną sympatię dla komunistów, lecz dlatego, że odnoszę się z wielką sympatią do wszystkich ludzi, niezależnie od tego, czy są oni komunistami, Hindusami, Żydami

czy chrześcijanami. Należę do tych, którzy nie wierzą w wojnę jako środek rozwiązywania konfliktów międzyлюдzkich. Ponadto chyba żaden inteligentny człowiek nie może wierzyć w wojnę atomową, która przyniosłaby jedynie zagładę całej ludzkości”. Jacques Hebert wiele podróżował, był w Korei, na Malajach, w Afryce. W czasie swej przedostatniej podróży odbytej na przełomie 1952 i 1953 roku Jacques Hebert, wraz z żoną Teresa, przebył tysiące kilometrów Wilysem, wzdłuż i wszerz Czarnego Ładu.

Redakcja



Teresa, Jacques i... „Skowronek“

11 września.

Od czasu przybycia do Beni-Abbés prowadzimy spokojny i zdrowy tryb życia. Kłopot mamy tylko z muchami, stołcem i zdobywaniem żywności. Na muchy znaleźliśmy sposób, instalując się w najciemniejszej izbie lepianki, obok której rozbiliśmy nasz obóz. Muchy nie lubią ciemności. Problem upału jest równie trudny. Rozwiązanie mieszkańca Sahary, którego dewizą jest: „pozostawać w spokoju i pić napoje chłodzące“ wydawałoby się jeszcze najbardziej pociągające, gdyby tylko było możliwe do zrealizowania...

Praktycznie biorąc niesposób napić się z czegoś chłodnego, chyba, że zasiądzie się w małej wiejskiej oberży i będzie się taper les anisettes *) jak mówią wojskowi.

Szczęśliwie w pobliżu pustelni mamy źródło; to samo, które dostarczało wody Ojcu Foucauld. Nie jest to prawdziwe źródło, lecz foggara. Drażni się stok pagórka, dopóki nie zacznie sączyć się woda: małe kanały zbierają ją z kilku pagórków, aż powstaje mała struga. Trzeba cierpliwości, aby napęlić wiadro. Ale jest to niebawala rozkosz — widzieć i słyszeć, jak pośród pustynnego krajobrazu płynie woda. Nawet jeśli jest ciepła...

Problemem, który wszystkich niepokoi w Beni-Abbés, jest zagadnienie aprowizacji. W zasadzie nie ma tutaj ani świeżych jarzyn, ani mięsa, ani produktów mlecznych — w praktyce można znaleźć trochę cebuli, rachitycznych pomidorów i chude kurczęta, które oskubane z piór podobne są raczej do kupratów. Jesteśmy zmuszeni naruszyć żelazne zapasy Alouette **) i żywić się koncentratami miazgi, ryżem i kluskami. Jemy dużo daktyli, owoców bardzo pożywnych i naprawdę charakterystycznych dla Sahary. Warto są one tyle, co mięso.

Nasze życie w Beni-Abbés nabiera rytmu niemal klasztorowego. Przede wszystkim obowiązkuje wstawanie w godzinie budzenia się much. Następnie maszerujemy aż do źródła położonego w drugim końcu ogrodu Ojca Foucauld. Marsz dosyć trudny, po piasku i stoku pagórka. Tam myjemy się, wciąż tocząc ciężki bój z muchami, które o tej porze są specjalnie agresywne. Gdyby nie one, byłaby to błogostawiona godzina. Jest prawie chłodno. Słońce jeszcze nie wzeszło. Cisza pustyni. Szósta godzina... Słaby dźwięk dzwonu z pustelni, tego samego, którym zdusił także Ojciec Foucauld. Wzywał on na modlitwę najczęściej jednak nikt nie przybywał.

Napełniamy nasz rezerwuuar składający się z dwóch galonów i idziemy. Musi on zaspokoić nasze potrzeby aż do jutra rana. Dużo powolniejszy powrót na górę. Słońce wytacza się zza horyzontu, który czerwienieje... W jednej chwili oaza, pustynia i pustelnia stają się purpurowe.

Szósta trzydziści. Msza w kaplicy pustelni. Gorąco: pozostał tutaj wczorajszy upał. Pot spływa nam już po twarzy. Księdzu w welinianej sutannie, albie i ornatcie musi być bardziej gorąco. Recytuje on jednak modlitwy Mszy Świętej nie spiesząc się, wymawiając dokładnie każde słowo, modląc się każdą sylabą. Rzadko kiedy w naszym życiu słyszeliśmy Mszę Świętą odprawianą z równą żarliwością.

Powrót do lepianki, gorące kakao, biszkopty, daktyle. Upał wzrasta z każdą minutą. Do dziesiątej możemy trochę poczytać, załatwić korespondencję, napisać artykuł.

Schodzimy do wsi dosyć malow-

niczą drogą, biegnącą wzdłuż dawnych fortyfikacji. Tubylcy czasem nas witają a czasem przechodzą obojętnie. W naszych wzajemnych stosunkach nie jesteśmy całkowicie swobodni. Czy oni nas się boją? Czy nami pogardzają? Czy po prostu są tylko obojętni? Fakt niezabawny, przyjaciele spotkania między muzułmanami i Europejczykami prawie tu nie istnieją...

14 września.

Najgorszym upokorzeniem dla muzułmanów, jest, być może, nie tyle fakt, że chrześcijanie sprawują nad nimi władzę, lecz to, że rządzą nimi ludzie, którzy — według ich przekonania — nie posiadają Boga.

Innym upokorzeniem jest to, że przez swych cudzoziemskich panów są traktowani jak istoty niższego rzędu. Codziennie jesteśmy świadkami poważnego braku szacunku, jaki wykazują Europejczycy w stosunku do tubylców. Braku sprawiedliwości, braku miłości chrześcijańskiej. „Ale nie bądzcie niesprawiedliwi“ — wciąż nam się powtarza. „Zobaczcie, jakiego dzieła dokonała Francja w tym kraju, który przed naszym przybyciem był w stanie całkowitej anarchii i dzikości. Nie patrzcie jedynie na to, co samo rzuca się w oczy — nędza ludu, brud i ubóstwo. Spójrzcie na szosy, szkoły, szpitale, fabryki...“.

Jutro wyjazd do Kolomb-Beszar. Pełny zapas benzyny i wody.

Ostatnie błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem w ukończonej kapliczce w pustelni. Wchodząc można dostrzec tylko jednego z dwóch Braci Mniejszych: klęczący przed ołtarzem, ubrany z wielką prostotą w białą szatę, ozdobioną czerwonym sercem, nad którym wyhaftowano krzyż. W półmroku wieczornej godziny ma się wrażenie, że to modli się sam Ojciec Foucauld.

15 września.

Wstajemy wraz ze wschodem słońca i... obudzeniem się much. Przed godziną siódmą opuszczamy lepiankę, gdzie w cieniu pustelni przeżyliśmy najszczęśliwszy tydzień naszej podróży. Ze ściśniętym sercem patrzymy po raz ostatni na palmy rosnące w ogrodzie, na kaplicę, na ogrodzenie z kamieni i gliny, na krzyże z drzewa na dachu; dwie gałązki związane sznurkiem.

Msza Święta powinna iada chwila się zacząć, ale skoro my wyjeżdżamy, dwaj Bracia Mniejsi będą sami tego ranka. Wiemy jednak, że w „Memento za żywych“ młodszy z nich swym głosem szorstkim i spokojnym powie: „Pamiętaj Panie o dwójgu podróżnych kanadyjskich, którzy tego ranka wyruszają w drogę...“.



Brama miasteczka marokańskiego

Przejeżdżamy wleś, pozdrawiamy czarne i brązowe osobistości, które nas teraz poznają.

I oto jesteśmy sami na wyboistej drodze. Ma ona zaprowadzić nas do Kolomb-Beszar. Jeśli tylko jeden z dwóch wysłych strumieni, jakie nas od tego miasta oddzielają, nie zacznie nagle wzbierać wodą.

Przejeżdżamy wleś, pozdrawiamy czarne i brązowe osobistości, które nas teraz poznają. I oto jesteśmy sami na wyboistej drodze. Ma ona zaprowadzić nas do Kolomb-Beszar. Jeśli tylko jeden z dwóch wysłych strumieni, jakie nas od tego miasta oddzielają, nie zacznie nagle wzbierać wodą.

Przejeżdżamy wleś, pozdrawiamy czarne i brązowe osobistości, które nas teraz poznają. I oto jesteśmy sami na wyboistej drodze. Ma ona zaprowadzić nas do Kolomb-Beszar. Jeśli tylko jeden z dwóch wysłych strumieni, jakie nas od tego miasta oddzielają, nie zacznie nagle wzbierać wodą.

paszport, tak jakby chciał znaleźć w nim jakąś nieprawidłowość.

— Ależ nie ma pan wizy na wjazd do Maroka.

— Przepraszam bardzo poruczniku, proszę spojrzeć na stronę siódmą...

— Tak, tak ale już przedawniona, ważna jest tylko na przeciąg

JACQUES HEBERT

W kraju pragnienia i strachu

Nagość pustyni nie przestrasza nas; znajdujemy w niej coraz więcej wdzięku. Kiedy nic nie odwraca uwagi, gdy nie ma ani zwierząt, ani ludzi i najmniejszy szmer nie ma ci ciszy, ma się głębokie poczucie własnego życia. Od tygodnia nie czytaliśmy gazet, nie słuchaliśmy radia i nie doznawaliśmy wrażeń miejskiego piekła.

szar, które o jedenastej wieczorem ukazują się wreszcie na niebie.

16 września.

Kolomb-Beszar. Jedno zmartwienie, jeden niepokój: czy będziemy mogli posuwać się naprzód drogą marokańską, którą zaprowadziły nas najkrótszą trasą do Marsakeszu i pozwolą nam przebyć Sa-

szczęściu tygodni od daty wystawienia.

— Sześciu miesięcy, poruczniku.

— Dobrze. Wiza ta jednak zawiera poważny błąd, bo stwierdza, że ma pan wyjechać z Maroka do Zachodniej Afryki Francuskiej, a to jest niemożliwe.

— Całkowicie możliwe, poruczniku. Chcemy po przejechaniu południowego Maroka, drogą na Maurytanie, udać się do Zachodniej Afryki Francuskiej.

— Drogą na Maurytanie? Cóż znowu? Nigdy nie uzyskacie zezwolenia na przejazd przez ten teren bez eskorty, poza tym istnieją kaucje...

— Spróbujemy jednak, poruczniku.

Wychodzimy stamtąd dosyć zmartwieni chłodem i nieufnością, jakiej nie spotykaliśmy dotąd u Francuzów. I prosimy niebios, aby te nieszczęsne „Klimaty“ nie miały zbyt wielu czytelników na Saharze.

Wydaje się, że od czasu tego spotkania życie jest mniej piękne. Kolomb-Beszar nam ciąży. Jest zbyt gorąco. Jedzenie tu podłe. Na poczcie czekam dokładnie 45 minut, aby kupić kilka znaczków. Nie w ogonku lecz pośród burzliwego i cuchnącego tłumu, czarnych, Arabów i białych. Trzeba walczyć z nowoprzybywającymi, którzy nacierają, aby zdobyć bliższe miejsca. Strzec swoich boków, swoich kieszeni, nie pozwolić, aby ten zawieszony osobnik napluł ci w twarz lub zmiądzzył stopy. A najbardziej dokuczliwi są spieszący się wojskowi, którzy nie czekają i niepostrzeżenie wytkają swoje listy urzędnikowi, który natychmiast porzuca tłum, aby odpowiedzieć kapralowi.

Kolomb-Beszar o nudnych ulicach, smutnych domach i placach olbrzymich, gołych i głupich jak tereny do gry w piłkę nożną... Biedne miasto!

Ostatni wieczór w Algerze. Uspływa on przyjemnie na rozmowie z lekarzem wojskowej jednostki stacjonującej na Saharze. Młody Francuz, pełen humanistycznych uczuć, który właściwie rozumie swą rolę. „Nie niszczyć własnego zdrowia w tej zatraconej dziurze dla dobra trzech czy czterech oficerów, którzy tu przebywają, lecz dla tubylców. Daję im wszystko, co mogę...“ oni tego tak bardzo potrzebują.

Nareszcie słyszymy kogoś, kto mówi z miłością o tubylcach, wyraża się ze skromnością o gigantycznej pracy, jakiej musi dokonać ten młody człowiek sam na olbrzymim terenie, gdzie chorzy są niezliczeni. Prawdziwy lekarz, prawdziwy chrześcijanin. Nie rozprawia on o „présence française“ z dżeganem w głosie, nie cierpi na żaden kompleks wyższości, ani na kompleks patriotyzmu. Jest człowiekiem i chrześcijaninem. Wzrusza się na widok nędzy tych, którzy są chorzy i pochyla nad nimi.

Ten człowiek sprawia, że zapominamy o wszystkich obojętnych i nie wykazujących zrozumienia oficerach, jakich napotkaliśmy. Zachowamy głęboko w naszych sercach tę ostatnią rozmowę, to ostatnie wspomnienie z Algeru.

Tłum. Izabella Kopeć

*) Pięć dużo anyżowli.
**) Dosłownie „Skowronek“ — tak Jacques Hebert nazwał swój samochód.

hary marokańską. Spotkaliśmy dzisiaj pewnego właściciela przedsiębiorstwa przewozowego, który twierdzi, że tak. Ale jego ciężarówka, która miała przybyć wczoraj wieczorem, jeszcze nie widać na horyzoncie i nasz przyjaciel się niepokoi: „Tę ta przekięta woda w potokach, która przecina drogę!“. Jeśli ciężarówka kierowana przez znaną tę trasę nie powróci, zawahamy się zapewne przed wyjazdem...

Wieczorem dobra nowina: „ciężarówka Garcia przybyła“. Unieruchomiona przez strumień w pobliżu Bu-Denib. Ale udało jej się pokonać przeszkodę. Szofer twierdzi, że woda w strumieniach szybko opada i że jutro z łatwością przejedziemy. A więc jutro!

Ostatnie przygotowania. Pokazać paszporty komisarzowi policji. Przygotować pełny zapas wody i benzyny.

Idziemy uprzedzić posterunek wojskowy o naszym wyjeździe. Natykamy się na porucznika, który — choć przyjmuje nas grzecznie — robi się purpurowy po przeczytaniu mojego nazwiska w paszporcie.

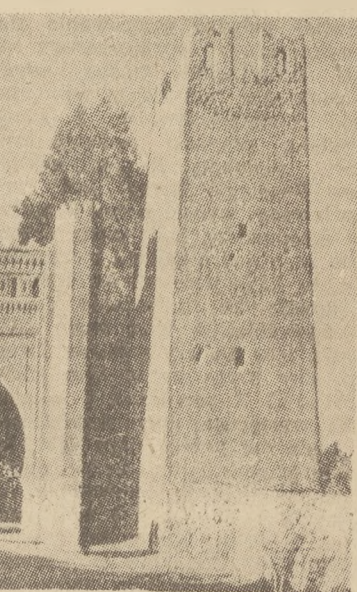
Porucznik przerzuca nerwowo

I nigdy nie czuliśmy się tak młodzi, tak zdrowi i tak szczęśliwi.

Nie ma nic ciekawego do zobaczenia na pustyni? Wreszcie przeciwnie! Widzi się wszystko nowymi oczyma. Najprostsze rzeczy odkrywają nam swe tajemnice. Nieoczekiwany krzak, palma, która zdecydowała się rosnąć dumnie sama, wśród płasków. Stado skubiące nie wiadomo właściciel jaką trawę. I pasterz, który nie nudzi się sam pośród swych owiec.

Tak, pustynia jest krajem biednym, pustym i nagim. Pozostają jej jedynie formy i barwy. Wydłużone kształty gór, fałdy i falowanie wydm, śmiałość i godność skał.

Barwa słońca, które budzi się na



Młoda Berberyjka z Pol. Maroka

DYSKUSYJNE DROGI I ROZDROŻA

OBSERWUJEMY obecnie ożywienie dyskusji na temat religii i moralności. Jest to zjawisko zarówno i twórcze, wzbogacające naszą kulturę.

Oczywiście trudno by zaprzeczyć, że w „od naszych polemów” odczytujemy się czasem głośno i niepoważnie, obok argumentów merytorycznych spotykamy rozumowania bardzo powierzchowne lub wręcz demagogiczne. Kto jednak chce się czegoś dowiedzieć, niech sobie przypomni poziom argumentów, jakimi operowały niektóre pisma katolickie przed wojną w polemikach z oponentami. Dzięki Bogu, dyskusja obecna jest nieporównanie poważniejsza, co jednak nie zwalnia nas od stawiania wymagań, by argumentacja stała się naprawdę rzeczowa i by z obu stron zrezygnować ze zbyt łatwych i zupełnie jałowych efektów publicystycznych.

Pozostawmy więc na boku takie wysoki, jak felietonistyczne popisy Jacka Bocheńskiego w rodzaju „Medycyna i średniowiecze”, po przeczytaniu których nie sposób oprzeć się zdziwieniu, rzuciwszy okiem na tytuł pisma — „PRZEGLĄD KULTURALNY” — kulturalny, na prawdę?

„Myśl Filozoficzna”, ten sam „Przebieg Kulturalny”, „Po Prostu” — dają wiele innego materiału, który — wzbudzając różne zastrzeżenia — jest jednocześnie poważnym wkładem myślowym w naszą, współczesną problematykę światopoglądową. Jeśli coś może wzbudzić niepokój, to pewnie anarchizm, inteligentność, brak dostatecznego poczucia odpowiedzialności za społeczny odbiór niektórych, zbyt bezrocznie formułowanych sądów, ale do tego jeszcze wrócimy w dalszym toku rozważań.

Trzeba sobie przede wszystkim uświadomić niebywałą trudność prowadzenia takiego dialogu, w którym, w założeniu, każda strona musi operować różnymi pojęciami.

Nasi krytycy negują a priori istnienie wszelkiej nadprzyrodzonej mocy w każdej wierze religijnej doszukując się ukrytych intencji społeczno-politycznych. Kościół katolicki — cokolwiek mielibyśmy do powiedzenia na ten temat, my, katolicy — będzie w tej interpretacji tylko specyficznym organizmem politycznym, którego dzieje, skoro nie są rewolucyjnie społecznie, muszą być odczytane reakcyjnie. Musimy więc tu napotkać na zasadniczą trudność w rozumieniu się, gdy my twierdzimy, iż Kościół katolicki jest przede wszystkim organizmem religijnym, że religia jest przede wszystkim instrumentem zbawienia duszy ludzkiej, że zbawienie nie stoi w swej istocie na przeszkodzie twórczej pracy człowieka nad doskonaleniem swego losu ziemskiego. Obie strony poruszają się tu bowiem w dwóch zupełnie różnych wymiarach i jest im niezmiernie trudno spotkać się w swych rozumowaniach.

Jednak jest to konieczne, choćby dlatego, że spotykają się ze sobą w praktyce dnia codziennego i okazuje się wówczas, że mimo wszystko w wielu dziedzinach rozumowania ich są do siebie podobne. Podstawowym więc problemem jest ustalić, o czym właściwie chcemy dyskutować i do czego chcemy we wnioskach dojść. Jeśli bowiem przedmiotem „dyskusji” ma być tylko jednostronne głoszenie własnych tez, to, rzecz oczywista — nie ma dyskusji. Tymczasem, jeśli chodzi o religię w ogóle, a o katolicyzm w szczególności, dyskusja jest zapewne potrzebna. Całe doświadczenie z okresu walki klasowej przeciw uciskowi, jakkolwiek cenne, zasługują na ponowne przeanalizowanie w świetle nowego doświadczenia, jakie daje nowy okres, okres pozytywnego budowania nowych form ustrojowych.

W tym okresie wiedza o światopoglądzie katolików, właściwa ocena ich moralności, właściwa ocena ich tendencji społecznych winny stać się jak najbardziej ścisłe, sprawdzalne. Taki jest, w moim zrozumieniu, sens pogłębionej dyskusji na ten temat. I tego właśnie, wydaje mi się, najbardziej brak w dotychczasowym przebiegu dyskusji, która w minimalnym stopniu uwzględniła i analizuje doświadczenia dziesięciu lat budowy Polski Ludowej, a opiera się przede wszystkim na jakimś psychologicznym podłożu dość dziewiętnastowiecznej antyklerykalnej mentalności. Jest coś z Boga-Zelenieckiego w atmosferze wielu artykułów z ostatniego okresu, coś z tradycji dawnej walki ze świętoszkostwem, z moralnym zaklamaniem burżuazji, czy nawet z relikami feudalizmu. Powrócono nawet do modnych *à la tempore* argumentów Woltera, Diderota.

Nie przeczę, że nie wygasły w Polsce stare problemy nalożone mentalności burżuazyjnej, ani nie wygasa całkiem ta rola, jaką tu jeszcze może odgrywać religia interpretowana według starych, najbardziej społecznie konserwatywnych wzorców. Twierzę jednak z największym przekonaniem, że w ogromnej większości, nasi dotychczasowi dyskutanci nie zastanowili się nad wymogami dziesięcioleć doświadczeń polskich, nie mają nic do powiedzenia na temat oczywistego faktu, że mimo różnic światopoglądowych, katolicy i niewierzący będą ze sobą współżyć, że winni umieć ze sobą współpracować i że mimo

wszelkich krytyk druga strona ma też coś do wniesienia do tej współpracy. Gdyby tak nie było — nie byłoby przecież tych dziesięciu lat współpracy. Mam nadzieję, że nie odczytują oni tego okresu, jako wyrazu oportunistów i kapitulacji tylko przed ilościowym zjawiskiem ludzi wierzących w Polsce?

KATOLICYZM — ZA CZY PRZECIWI WIEDZY?

WYDAJE mi się więc, że narzuca się postulat porównawczy dyskusji znacznie szerszej i znaczącej barziej metodycznie. Najpierw trzeba jednak skonfrontować sądy na temat samej treści światopoglądowej katolickiej. Pewne prony czynione oczywiście w publicystyce ostatniego okresu spotkały się niedawno z naganą, zarzutem jałowości takich usiłowań: „jest to bowiem dyskusja bardziej o tym, co może być, niż o tym, co jest; bardziej o tym, co powinno być istotą religijnej inspiracji w epoce współczesnej, niż o tym, co jest nią w istocie.”)

Sąd taki wydaje mi się bardzo powierzonowy. Nie wszystko można sprowadzać do analizy praktyki. Książkę Kłosa przypominam niedawno tezę Lenina, że „kryterium praktyki z istoty sprawy nie może nigdy całkowicie potwierdzić lub obalić znaczący poglądów ludzkich”. Odnosi się to oczywiście również do religii. Nic nas nie może zwolnić od obowiązku ustosunkowania się do samych zasad, tym bardziej, że od barzo wielu pokoleń urabiają one jednak mentalność ludzką.

Nie upraszczamy też sobie tej analizy. Tendencja naszych krytyków idzie wyraźnie ku udowodnieniu, że doktryna katolicka nieuniknionie musi prowadzić współczesnego człowieka do ciągłych konfliktów z osiągnięciami naukowymi. Rzecz jasna, nasi krytycy znajdują łatwo szczegółowe przykłady dla podbudowania ich tezy, bardzo zaś niechętnie zauważają te autorytety katolickie, które jej przeczą. Cóż za sens jednak cytować tezy z wykładów gregoriańskich, a pomijać komentarze Piusa XII, które — dają ogólne wytyczne szukania zgodności między interpretacją doktryny katolickiej a osiągnięciami nauki.

Nie dziwmy się jednak surowości krytyki. Jest rzeczą pewną, że myśl katolicka z ogromnym trudem odrabia wiekowe zaległości. Nauka posuwa się naprzód krokami olbrzymia. Kościół chce brać pod uwagę tylko sformułowania naukowe pewne. Zastrzeżenie to daje okazję do wielu nadużyć. Prawda więc chyba będzie stwierdzenie, że jeśli Kościół katolicki docenia dziś wyraźnie konieczność uwzględniania wszystkich zdobyczy nauki w interpretacji swej doktryny, to siły realizujące te wytyczne są jeszcze niedostatecznie silne, a zwolennicy anty-naukowego myślenia są w społeczności katolickiej

jeszcze niestety potężni i obiektywnie szkodliwi tak dla Kościoła, jak i dla postępu ludzkości. Nie jest to konflikt zasad, lecz mentalności. Tak jak odkrycia kopernikańskie zburzowały niemalże umysłów katolickich, choć w rezultacie okazało się, że dla Kościoła jest najzupełniej obojętne, z punktu widzenia zasad religii, że to nie słońce obraca się naokoło ziemi, a właśnie odwrotnie, tak też wszelkie dalsze odkrycia dotyczące powstania ziemi, życia, człowieka nie będą miały żadnego wpływu na istotę nauki Kościoła o Bogu i zbawieniu duszy. Wiem natomiast, że próby obalania osiągnięć nauki w imię zasad katolicyzmu przynosiły tylko szkodę Kościołowi, a dla uniknięcia tych bolesnych nieporozumień trzeba, by jak najwięcej świadomych katolików budowało prawdziwą wiedzę ludzką.

KATOLICYZM W TEORII — CZY W PRAKTYCE?

POZOSTAJE zagadnienie praktyki, tej praktyki, która tak często różni się od tego, co Kościół w teorii głosi. Czy w istocie katolicy są zлыми katolikami, czy też — jak się to nam sugeruje — nie są nimi w ogóle, a więc religia staje się dziś już tylko reliktem obyczajowym, w który nikt nie wierzy, a praktykuje jedynie z bezwystności i siły ciężarnej złej tradycji?

Nasi krytycy stwierdzają:

„Świadome przekonania religijne to u nas rzadkość. Wiara explicitie znająca sumiennie swój przedmiot jest wyjątkiem; panuje u nas wiara implicita, polegająca nie na indywidualnej znajomości swego przedmiotu.”

„...i w tej ocenie się na pewno nie mylą, choć nie jest to stwierdzenie odkrywcze. Katolicy publicyści, zwłaszcza bardziej postępowi, podkreślają ten fakt bez przerwy (polecamy np. artykuł M. Brzeskiej „Niewiara wierzących” — w „Słowie Powszechnym”). Czy z tego jednak można wyciągnąć taki wniosek, dwieście lat temu sformułowany: „Z punktu widzenia obyczajów to rzecz zupełnie obojętne, czy kto jest ateuszem, czy też wierzy we wszystkie kanony religii”.

Może to bowiem świadczyć o zubożeniu życia duchowego katolików tak samo dobrze, jak i o podświadomej postawie religijnej u ateuszów.

Jest faktem jednak, że świadoma i głęboka religijność jest rzadkością, a przeważa powszechne postawa, w której i religijność, i moralność wynikają z obyczajów własnych i środowiskowych.

Tu jednak natrafiamy na istotny problem: ponieważ, że naszym ideałem, wspólnym zresztą, jest postawa świadoma, przemyślana, konsek-

wentna. Niemniej jednak pozostaje faktem, że obecnie — ale jeszcze i bardzo długo — moralność będzie znacznie bardziej funkcją presji obyczajowej środowiska, niż wyrazem osobistej, świadomej dojrzałości. Nie ma konfliktu, jeśli stwierdzamy pragnienie osiągnięcia przez całe społeczeństwo takiego poziomu. Jest jednak wyrazem nieodpowiedzialnej, inteligentnej w złym tego słowa znaczeniu postawy, burzenie moralności obyczajowej tylko dlatego, że jest bardziej prymitywna, mniej dojrzała niż moralność osobistej świadomości i odpowiedzialności.

Młodziacy moralności, może nawet trochę zanadto zadufani w swoje własne możliwości intelektualne, wołają dziś zbyt często o kompletne zradykalizowanie pojęć moralnych: nie ma zasad, umysł ludzki potrafi precyzyjnie odróżnić dobro od zła w każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji!

Oto w „Po Prostu” przekonuje nas Andrzej Malewski:

„Kobieta, która nie wyszedłszy za mąż decyduje się mieć dziecko — a nie bezwarunkowo zakazy etyki katolickiej. Ale nie ma chyba potrzeby przekonywać, że oburzenie moralne byłoby tu czymś niedzielnym”!

Doceniając wszelkie dobre intencje autora, który zapewne chce bronić przed faryzeuszami każdej kobiety — matki, nawet niezamężnej, trzeba jednak stwierdzić, iż nie przemyślał on skutków tego apelu dla budowy zdrowego, socjalistycznego społeczeństwa. Wprawdzie sprzeciw moralny bywa często formą świętoszkostwa i zakłamania ale może być również zdrową formą walki społeczeństwa przeciw nadużyciom, przeciw „niezczęśliwianiu” dzieci, pozabawianiu zbyt często i rodziców i opiekali.

Tenże sam Malewski wytyka moralności katolickiej sformułowanie, że: „wszelkie kłamstwo zawsze i wszędzie jest czymś złym... Czy takich zakazów i potępień sformułowanych w sposób bezwarunkowy, bez względu na okoliczności można jakoś rozsądnie bronić?”

Oczywiście moralności i teologowie rozważają te sprawy szczegółowo. Czy można jednak rozsądnie podważać tak oczywistą moralnie i pedagogicznie zasadę, że kłamstwo samo w sobie jest złem? Czy pan Malewski nie rozumuje znów zbyt inteligentnie, elitarnie. Czyż nie słuszniejsze jest proste sformułowanie trzeciego punktu prawa harcerskiego — „Harczer mówi prawdę i dotrzymuje słowa”?

Nawet nasi krytycy wyrażają od czasu do czasu obawy, by na miejscu istniejących form moralności obyczajowej nie powstała pustka, której nie wypełnią nawet szlachetne frazesy. Ta próżnia nam dziś grozi. Oczywiście nie chodzi mi o

zastopowanie sporu o moralność jakimś szantażowym chwytym. Spór będzie trwał i prowadzony rozsądnie może tylko pogłębiać moralność świadomą. Chodzi jednak o to, by sformułowania i tezy miały na względzie rzeczywiste dobro człowieka i społeczeństwa, a nie stawały się areną erudycyjnych popisów czy osobistych kompleksów.

O SPOLECZNEJ FUNKCJI KATOLICYZMU

No i wreszcie trzeci problem, wyłaniający się z toku dyskusji — funkcja społeczna katolicyzmu.

Już Rostworowski dosadnie wytknął pewne skłonności do lekceważenia praw historii w dokonywanej analizie społecznego dorobku katolicyzmu. Nie wracam do tego tematu.

Jeśli nie mogę się pogodzić z metodą potępiającą „w czambuł” wszystko, co było społecznym odbiciem istnienia Kościoła i nauki katolickiej, o tyle muszę przyznać, iż mimo wszystko ta dziedzina jest pod wieloma względami dla katolików żenująca. Rzecz w tym, że krytyka społecznej funkcji katolicyzmu w okresie kapitalistycznym trafia bardzo często w sedno sprawy, tak jak często naciga swe argumenty w stosunku do okresów poprzednich.

Mylnie byłoby oczekiwanie od katolików, by ni stąd ni z owąd stali się, dlatego że są katolikami, siłą społecznie rewolucyjną. Zaden polemista myślący historycznie nie może formułować takiego postulatu, gdyż wie, że katolicy nie byli nigdy żadną określona klasą. Jest jednak i druga strona medalu — mianowicie analiza układu sił i wpływów społecznych wewnątrz świata katolickiego. Analiza taka — w moim przekonaniu — nie pokazuje braku dobrych intencji społecznych, ujawnia jednak ów brak czynionych krwinek, ów brak wpływu postępowych sił społecznych na przeciętną mentalność katolicką w ostatnim okresie. przeto brak rzeczywistych osiągnięć, brak rozwiązań na miarę potrzeb społecznych naszej epoki. Nie tu miejsce na szczegółową analizę tego zjawiska.

Nasi polemici twierdzą, iż taka anemia społeczna może być tylko wynikiem błędów w samych założeniach naszej moralności społecznej. Warto z tym polemizować, gdyż takie na przykład sformułowania, jak: „miłość bliźniego, to gorliwość pomocy ludziom, z którymi się osobście stykamy” — jest oczywiście nieprecyzyjnym i nie ma nic wspólnego z istotą etyki katolickiej. Również i niektóre interpretacje chrześcijańskich cnót pokory i posłuszeństwa, mimo pozorów nie dają się tak łatwo ustawić klasowo, jakby to wynikało z niektórych komentarzy. „Reakcyjny” święty Tomasz z Akwinu miał na przykład

na temat buntu przeciw tyranii opinię najdalej od wszelkiej ugodowości.

Fakt jednak pozostanie faktem, że w ciągu w. XIX-ego znaczna większość katolickich sformułowań społecznych miała charakter ugodowy w stosunku do klas posiadających i że programy te były bezsilne wobec wzrastającego egoizmu i wyżysku w życiu ekonomicznym epoki.

Dlategoż jednak nasi krytycy tak skrajnie omijają analizę i wyciąganie wniosków ze współczesności? Czy nie dlatego, że sto czy dwieście lat temu wstecz łatwiej znaleźć argumenty negatywne, niż w chwili obecnej? Dlaczego nikt nie zauważa, że zmiana w stosunku sił społecznie postępowych i społecznie konserwatywnych wewnątrz społeczności katolickich jest dziś procesem ciągłym i wyraźnie skierowanym na lewo?

Skoro dyskusja światopoglądowa zatoczyła już tak szerokie kręgi, dlaczego nie sięgnąć do zagadnień podstawowych a harcować tylko na przedpolach przy pomocy broni liberalistycznego wolnomyslnictwa? Można problem sprowadzić do „religianstwa”, do „obskurantyzmu i oportunistu” wierzących Ale można przedstawić go zupełnie inaczej:

W Polsce, która rozpoczyna dzieło budowy planu pięcioletniego istnienie ruchu ateistycznego, ale istnieją i liczne masy wierzące. Można wzmagać i pogłębiać konflikty i spory między jednym i drugim. Każda ze stron będzie miała swe wewnętrzne racje, by okazywać swą bezkompromisowość. Ale iedzi będzie przeżywać ów dramat rozdarcia między przekonaniem, których będą chcieli bronić, a sprawą budowy sprawiedliwych form ustrojowych, której będą chcieli służyć?

Czy nie lepiej jest jednak, w niczym nie ustępując z linii własnych przekonani i prawa do ich głoszenia, dokonywać tej konfrontacji światopoglądowej, tego mierzenia się różnych kryteriów, nie zapominając, że celem tego dialogu jest również znalezienie wspólnego języka we wspólnej sprawie?

*) Zwrotcono mi uwagę, że dobry obyczaj publicystyczny wymaga podawania nazwiska autora i tytułu cytowanego czasopisma. Wyjaśniam, że chodzi mi o artykuł J. Adamskiego w nr 3 (177) „Przebieg Kulturalny”. Uważałem jednak, że skoro on cytuje „Dziś i Jutro” i Rostworowskiego — bezimiennie — powinienem postępować podobnie. Redakcja jednak uważa, że dobre obyczaje obowiązują.

ANDRZEJ PIOTROWSKI

Sur le pont d'Avignon

Zenonowi Skierskiemu

Na moście święci w koronkach
królowie rycerze i damy
na moście śpiewają gitary
koronki organki i dzwonki

Na moście kapela skocznie
i w kółko okrągiło dalej
panowie zapraszają panie
panowie całują rączki

Na moście para za parą
pod mostem zielona woda
płynie dziewczyna młoda
z kwiatami na gitarze

Na moście gitary organki
tańczą śpiewają dzwonki
modlą się święci w koronkach
modlą się za kochanków

Oj kochałaś jasnego panka
oj tańczy panek na moście
woda posłanie wymości
dla ciebie i dla kochanka

Umyje włosy i oczy
ułoży na dnie i utuli
wybrankę w ślubnej koszuli
i zagra falami skocznie

I Pan Bóg łaskawie spojrzy
na miłowanie podwodne
a rzeka uderzy podzwonne
w wielkim i srebrnym morzu

Na moście w Avignon na moście
święci w koronkach żałośni



Rys. Edward Krasieński

Zaślubiny Merlina

(Przyczynek do genealogii Ildefonsowego Küferlina)

Gody wschodziły skrzypcami, fletem, obojem. W puzon Dmuchał brodaty kobold basując ogromną piętą. Merlin podniósł się chwinnie. „A tom się diablo urznął!” Mruknął zdejmując z czoła pot zawieszisty a ciężki.

Woglinda o płowych włosach zza rzęs patrzyła na męża, Który popuścił pasa, aż brzuch mu obwisł pełny. Wielki zdarł skórę niedźwiedzią i usiadł na ślubnym łożu, I skinął Merlin palcem: stało się nagle srebrno.

Grajkom za kotarami strach spływał po instrumentach: Lękali się gniewu pana białej i czarnej magii, A on potrzasał grzywą i wypowiedział zaklęcia Nad włosami małżonki i jej kruchymi piersiami.

Pląkały druhny gorzko, bo Merlin był duży i mocny, Ale usnęły nagle i muzyka była czulsza. Nad twarzą małej Woglindy płonęły do końca nocy Czarne oczy Merlina wielkie jak ścienne lustra.

Rano, gdy żona w kuchni warzyła czarną kawę, Położył jej dłoń na ramieniu i ofiarował perły. Zdziewiona podniosła głowę, a on powiedział łaskawie: „Od dziś za dziewięć miesięcy urodzi się syn nasz, Küferlin!”

Miodowy miesiąc

Wsiądziemy na stacji w astrach, gdzie kolejarz w czerwonej czapce, domy o dachach płaskich i dziewczęta z warkoczem i w łapciach.

Zapłacimy z góry za miesiąc (pokoik z widokiem na rzekę), będą długie spacery po lesie i księżyc bardzo daleki.

Wieczorami pasjanse we dwoje i pijamy: zielona i żółta, na poręczy bluzeczka twoja i szorty z taniego płótna.

Trzydziestego wstaniemy wcześniej, pożegnamy tapczan przyjazny, z bułkami i torbą czereśni wsiądziemy w kolej żelazną.

Nazajutrz — w DT na Puławskiej bdziesz — śledzie, karpie i łosoś, a ja z torbą, z numerem na pasku: „Kto jeszcze nie płacił, proszę!”

Nie dotykajcie Grisbi

UDAŁO mi się przeczytać z rocznym, dobrowolnym zresztą opóźnieniem powieść Alberta Simonin „Touchez pas au Grisbi!” i czułem się bardzo niewojno po tej lekturze. Lub raczej nie, jeszcze nie zdolałem się z niej wydobyć, co zresztą może autor pozyczyć sobie za komplement...

Czuję się niewojno... „Obrzydony” — jak się czasem mówi o bokserze, który po porażce, odnajduje się sam, bez wiary w siebie i w dzień jutrzejszy.

Wiedzą o tym dobrze, mniemam, wydawca i autorzy Czarnych Powieści. Lub może wydaje im się, że zarabiając fortuny przynoszą jedynie rozrywkę swoim współczesnym? Bo nie wiedzą, że wprowadzają w obieg rodzaj środka odurzającego? I że istnieją narkomani i ich książki złotych i czarnych, tak jak istnieją politykanci powieści politycznych. Ale jeśli chodzi o tych ostatnich, to im mogą drętwiejsze skutki zajmowania się stale tymi samymi problemami, gdy tymczasem w wypadku amatorów czarnej serii — dusza ich popelnia na sobie zaborstwo.

Oto zdanie, które na pewno wzbudzi wesołość: „Ich dusze.” Jest się czym przejmować! Potrzeba dowodu? Oto gdy przekładałem uprzejmie pewnej młodej pisarce, która stała się sławna, że tyle pochwał zebranych w wieku siedemnaście lat wydaje mi się szkodliwe dla jej duszy — odpowiedziała mi: „Niechaj ją whisky uleczy”. To jest również ulubiony środek bohaterów Czarnej Serii. Czy ta odpowiedź bawi was? Mnie nie.

My, chrześcijanie, rzuceni w odmęt świata, cieszymy się — być może jak ulomni — wydoskonaleniem zmysłów, szczególnie tego, który pozwala nam tropić Chrystusa lub jego bolesną nieobecność. Każde spotkanie z istotami, które żyją tak, jakby Chrystus nigdy nie istniał, ścisła nam serce i przywodzi nad brzeg rozpacz. Zarówno te istoty z krwi i kości żyjące w miastach, jak i te, fikcyjne, żyjące na ekranach... Żyć tak, jakby Chrystus nie istniał, to tak jakby On umarł na próżno! Cóż za bezsilność, coż za pokusa rozpacz! Widzieć umierające dziecko dlatego, że zamknięta apteka lub lekarz na wakacjach, w t e d y, g d y r a t u n e k i s t n i e j e. Oto, co odczuwają chrześcijanie wobec bohaterów Czarnej Serii — nie marionetek, utopiońskich w whisky i ogłuszonych szturchańcami, lecz ludzi z powieści „Nie dotykaj Grisbi!”. Ludzi, którzy nie są wcale autentyczni (wszystko jest w nich sztuczne, o czym sami nie wiedzą) lecz nie mniej prawdziwi.

Oto plemie, z którym sąsiadujemy i które pozostaje nam wrogie, które tworzy swoje własne getto i rozmnaża się bez mając dzieci, które eliminuje bez trudu swoich starców i swoich chorych. Chorych na co, zresztą? Pomijając kilka chorób zawodowych jak syfilis lub cyrchoza, trudno sobie wyobrazić ludzi z kraju Grisbi dotkniętych koksizmem, reumatyzmem czy zółtaczką. Jeśli chodzi o wypadki przy pracy, to nie darują im ich sobie, wszak karabin P-38 (lub nóż dla bardziej wysportowanych) są ich jedynymi narzędziami. Plemię, gdzie znajdują tylko jedno jedyne zajęcie dla mężczyzn i kobiet. „Narod pastery i kupców” — czytywało się w książkach historycznych — tutaj inaczej: dziułek i sutenerów. Plemię bez „konfliktów”, przepelnione jedną jedyną pogardą do reszty świata, jego radości, jego nadziei, jego cierpienia. Które nas nienawidzi nie dla naszych wad, to one ich właśnie pożerają, ale z powodu naszych zalet. Żyją poza obrębem naszych sezonów: ich tygodnie nie mają niedziel, lata pozabawione są wakacji, śpią w ciągu dnia i budzą się w nocy, kuścając upiory, zgnilizna w formie „objawienia!” Ci z Grisbi mają tylko jedną wspólną granicę z ludźmi: prawo, jakie omijają, policję, którą przekupują, sprawiedliwość, jakiej się wymykają. Z jaką powagą używają swego języka. Składają się nań przechwałki nie-

dorostków i pogroźki pijaków, najbogatszy język świata staje się tutaj najuboższym w znaczeniu. Szczerze, dla którego słowa Bog, Rodzina, Praca nie znaczą nic lub przywołują znaczenie odrażające. W co bowiem zamieniają się Honor, Miłość, Śmierć w ustach bohaterów Aiwerta Simonin? W krew, spermę i materię.

Wszystkie te cechy określają dostatecznie tych ludzi z Grisbi, ale brak jeanej istotnej rzeczy, który ich okresia, wyjaśnia wszystko: żyją oni, powtarzam, tak, jakby Chrystus nigdy nie istniał. Nie są oni osamotnieni, oczywiście. Tworzą się przeciwieństwo „szczępy”, azerystów prasy i widowisk, na przykład... Szczęcie się, mogą być najgorzej wrodzicielscy i odważni, ich fortuna i stanowiska stanowią dla was rodzaj gwarancji, mogą pochodzić ze starych rodzin, mogą być ludźmi świetnie ustosunkowanymi, pochodzić z doskonałego środowiska — wierzę mi, jeśli żyją tak, jakby Chrystus nigdy nie istniał — nie dotykajcie ich. Chyba, że jesteście w mocy okazać Go im, przekonać ich, że Biada bogaczom, Błogosławieni, którzy płaczą i Którzy pragną ocalić swe życie — stracą je. Ale to, co jest wodą dla statku, a powietrzem dla skrzydeł, czego brak wszędzie, gdzie Chrystus jest nierozpoznany — to jest Miłość. Spójrzcie, jak bardzo się nie kochają ci ludzie z kraju Grisbi! Grisbi — z międzynarodowych banków, prowincjonalnych spadkobierców lub alfonsov Czarnych Powieści: jest wszędzie tym samym i potępnym Księciem tego Świata.

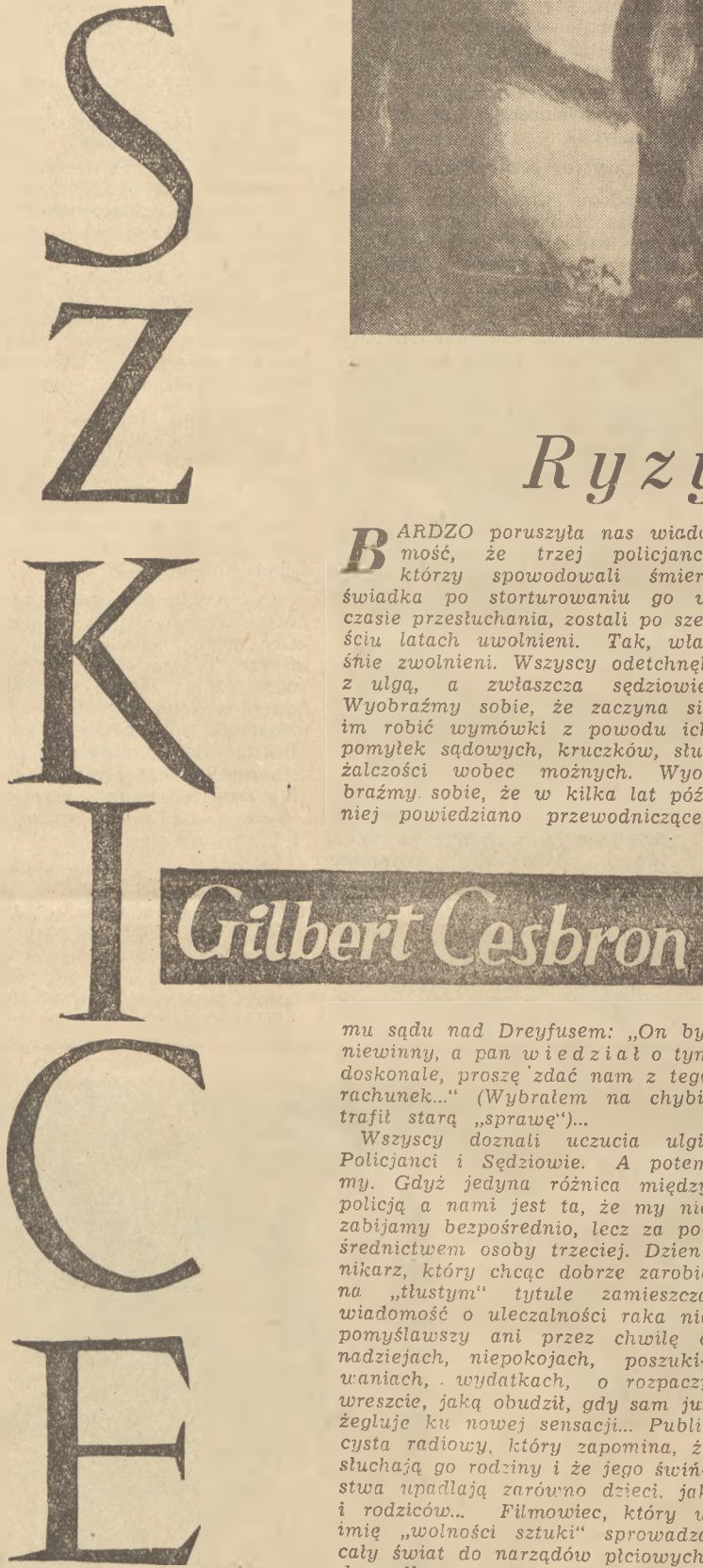
Niepodobna czytać książki, w której garziliby się, odrzucało, odpychało wszystkich bohaterów. Trzeba przywiązać się chociaż do jednego z nich i czytelnik Simonin nie odbiega od tej reguły: wyszukuje jednego lajdaka spośród reszty lajdaków i czyni sobie z niego rodzaj przyjaciela lub gorzej: pragnie upodobnić się do niego. Zwróćcie uwagę w wagonach metro na tych chłopców i dziewczęta grzejących w czarnych powieściach. Przerazająca okładka staje się ich twarzą. Chrystus jest tuż obok nich, w różnych postaciach: wyczerpanego robotnika, starca w czerni, tego Północno-Afrykańczyka, od którego wszyscy się odsuwają, tej kobiety w ciąży o zapadłych policzkach, człowieka w zbyt obszernej odzieży, którego wzrok niespokojny zdradza, że wyszedł z więzienia... To jest Łazarz, Maria i Chrystus, tutaj w ciszy i tоскоcie pędzącego pociągu. Ale dziewczyna i chłopiec o twarzach z czarnych i złotych okładek nie podnoszą oczu — wola Marxa-Klamca, Tintina-Gluchego, Freda, Lole, Marinette i Grubego. Nie uciekają oni bynajmniej ku nawiwnym przygotowaniom sentymentalnym i rycerskim. Nie błąkają się nawet wokół tych „trupów — przedmiotów”, umarłych bez znaczenia, jakich pełno w powieściach policyjnych. Wola żywe trupy z Czarnych Powieści, które dusza opuściła jeszcze daleko przed grobem, które cuchną, chociaż nie należą jeszcze do zmarłych. Po tym właśnie ementartu przechadzają się moi bracia, ten chłopiec i dziewczyna z metro. Bracia również tych trzech młodych Amerykanów, którzy kiedyś w nocy rozpaceli po skwerach tojny na włóczeżów i bezdomnych. Budzili ich przypalając im stopy papierosem, bijąc ich — trzech przeciw jednemu — i wrucali wreszcie do rzeki. Jedyne „zwierzyna” ich interesowała, ci, którzy gdzie indziej nazywa się Biednymi, Maluczkimi, do których należy Królestwo Niebieskie. Czy te dwie dziewczyny angielskie, które zamordowały matkę jednej z nich uderzeniem cełty również czytywały Czarne Powieści? „Mamy dzisiaj wielki projekt: zabić mamusię — napisali w osobistym dzienniczku — czujemy się równie wesołe, jakbyśmy udawały się na surprise-party.”

Ci chłopcy i dziewczęta z metro jutro będą mieli prawo sądzić i wybierać, to dla nich pracować

będą prasa i spektakle, to do nich podejście polityka — to oni będą potem prowadzić. Jak każde pokolenie doprowadzą do władzy również swoich bohaterów, swoje maksy, swoją wizję świata. Jak wyglądać będzie Francja z Czarnych Powieści? Czy jest jeszcze czas powiedzieć im (jak głosi tytuł Grisbi) — Nie dotykajcie ich!

(1954)

*) Omawiana przez Gilberta Cesbrona powieść Alberta Simonin „Touchez pas au Grisbi!” należy do gatunku „roman noir” — czarnej powieści, najbardziej poczytnego obecnie na Zachodzie rodzaju „nieoficjalnej” literatury. Autorzy „roman noir” ukazują w swych taniach, wydawanych na wzór amerykańskich comicsów książkach — ludzi o cynicznej postawie wobec świata, zaplątanych w drugorzędne konflikty psychologiczne i erotyczne. Akcja ich powieści toczy się przeważnie w syplalni i w nocnym lokalu. Są one pewnego rodzaju parodią „poważnej” współczesnej powieści francuskiej. Obok „roman noir” krzewi się bujnie gatunek zwykłej powieści kryminalnej, „roman policier”.



Georges Rouault

Ryzyko rzemiosła

BARDZO poruszyła nas wiadomość, że trzech policjanci, którzy spowodowali śmierć świadka po sturutowaniu go w czasie przesłuchania, zostali po sześciu latach uwolnieni. Tak, właśnie uwolnieni. Wszyscy odetchnęli z ulgą, a zwłaszcza sędziowie. Wyobraźmy sobie, że zaczyna się im robić wymówki z powodu ich pomylek sądowych, kruczków, stuzalności wobec możnych. Wyobraźmy sobie, że w kilka lat później powiedziano przewodniczą-

Dzięki bezsilności użytkowników, rodziców, policji — to już przestało być ryzykiem stało się raczej premią... Właściciel „umeblowanych pokojów”, który bezkarnie podwyższa cenę, terroryzuje, wypędza na zimno swoją trzódkę... Handlowiec, który uważa za swoją obowiązującą podtrzymywanie kalkulację wobec klientów, gdy ich możliwości nabywcze topnieją z dnia na dzień... Urzędnik, który udziela fałszywych informacji, obchodzi się po grubianisku, każe na siebie czekać, doprowadza do rozpacz ludzi po drugiej stronie okienka. Wszyscy ci, którzy znajdują się po „właściwej” stronie kontuaru — a pierwszy z nich wszystkich, Jego Wysokość Krol Francji, niewątpliwie spadkobierca władcy tego kraju — SZYNK. Wszyscy oni zabijają szybko i lub wolniej, mniej lub bardziej bezpośrednio. My zaś spełniamy na przemian rolę katu i oziary. I cóż, gdyby nas ktoś oskarżył, odpowiedzialnylibyśmy zapewne tak, jak ci „nie-szczęśliwi” policjanci, którzy mimo wszystko spełniali swój obowiązek.

I ci, którzy nami rządzą, również spełniają swój obowiązek. Gdy dowiedzieliśmy się, że Dien Bien Phu padło, nasz pierwszą myślą było życzenie: „Jaka szkoda, że oni wszyscy tam się nie znaleźli!” Gdyż dla nas, głupców, Dien Bien Phu było stracone od pierwszego dnia. Ale nie dla znakomitych generałów, którzy rozkazywali utrzymywać punkty oporu w tej misce, oddalonej o 300 km od bazy. Cóż, oni nawet w tym momencie dzielnie redagują swoje komunikaty o zmarłych, rannych i jeńcach. Oni nie będą ani ukarani, ani nikt nie będzie ich niepokoił: nikt z was nawet nie ośmieli się porównać ich do trzech policjantów, którzy zamordowali jakiegoś świadka. Zarówno Prezes, jak i ministrowie odpowiedzialni za tę klęskę, przygotowują sobie exposé na następną niedzielę. Dien Bien Phu — toż to świetna trampolina! Podczas najbliższych ceremonii ich białe ręce morderców „przez pośredników” ścisnąć czarne ręce wdow. O, Chryste Panie, czy im także należy wybaczyć? Czy sądzisz, Panie, że którykolwiek z nich nie wie, co czyni? A my pozostali, bezradni, skupieni z oczami pełnymi łez, tak jak tamci, u stóp krzyża, coż mamy poczekać?

„Ryzyko zawodu” — piękne pojęcie, które straciło jednak swój sens i zmieniło właścicieli. Nigdyś brano na siebie odpowiedzialność za pełnioną funkcję, spełnienie obowiązku wiązało się z życiem. Niegdyś mężowie stanu od czasu do czasu wymordowywali się wzajemnie — niemniej przyjmowali ryzyko swego urzędu. Ludwik XIV dawał publicznie. Dzisiaj najmniejszy sekretarz podsekretarza stanu, nawet mniej, jego szef lub dyrektor gabinetu, byle jaki pętlak z Prefektury, niewolników, usuwających mu z drogi auta. „Usunąć się, oto Pan Nieudolny spieszy sprawować swój komiczny urząd: przewodniczyć nie posiadając aurytetytu, decydować nie mając kompetencji, podpisywać nie czytając... Miejsce dla Pana Nieudolnego!” My pozostajemy na chodnikach — ale oni przechodzą zbyt szybko, aby dało się spojrzeć. Odrzucamy się do nich plecami, jak do żołnierzy niemieckich, gdy ukraczali na Pola Elizejskie przy dźwięku piszczałek równie piskli-

wych, jak gwizd łobuziaków... „Ryzyko zawodu” — to znaczy obecnie wykorzystywać kogo po padnie: robotnika, pracownika, lokatora, „miłą klientelę”. Człowiek stał się dla drugiego człowieka artykułem pierwszej potrzeby. Ma on swój rynek międzynarodowy, swoje zwyczaje i spadki. Istnieje rynek mężczyzn, rynek kobiet a nawet dzieci. Coż, oni zawsze mogą ustłować przeżyć: mężczyzna po pięćdziesiątce, któremu przedsiębiorstwo „dziękuje”, robotnik, którego zawód nie znajduje zapotrzebowania, samotna kobieta, chora od kilku lat... Cóż chcecie, oto prawo Popytu i Podaży, triumf „Ekonomii liberalnej”.

„Liberalna” pochodzi od „wolności”, jak wiadomo... Powróćmy jednak do naszych trzech ulaskawionych. Gdyby policja rzeczywiście była zawodem, który przyjmuje ryzyko — niegodnie byłoby zwracać się przeciw niej. Ale nie jestem pewien, czy ci sami inspektorzy istotnie przyjmują je na siebie. Może potrzeba, aby konsekwencje owego „ryzyka” z całą surowością były dochodzone? W istocie owa ofiara wcale nie była interesująca. „Nie ma dymu bez ognia” — mówią, jeśli znajdował się w lokalu policji, to znaczy, że go obwiniono... Ależ nie, on był tylko podejrzanym... Dobrze, ale podejrzany o poważne współuczestnictwo... Nie, tylko o zatajenie. — Tak, ale o zatajenie morderstwa, trupa... — Nie, tylko kradzieży. Tak, ale kradzieży nie do powetowania, gdy chodzi o... — O zegarek.

Tak, podejrzewając go o ukrycie skradzionego zegarka i aby zmusić do przyznania się, ouych trzech zmalterowało człowieka na śmierć. Podobne wydarzenie miało miejsce w Gabes (Tunis). Na posterunku policji przyprowadzono jakiegoś sklepikarza obwinionego o kradzież. „Po przesłuchaniu — domniósł wstydliwie dziennik — przewieziono go do szpitala, gdzie zmarł.” Ale w tym wypadku policjant tuniski został zawieszony, a komisarz przeniesiony. I dziwi się jeszcze, że w Afryce Północnej tak źle się dzieje... Coś podobnego: przenieść komisarza, zawiesić policjanta... A może jeszcze go powiesić? Jakż to dżiki kraj, niechaj raczej biorą przykład z Metropoli: tutaj administracja sądowa uczyniła wszystko w ciągu lat, aby nie dopuścić do ujawnienia procesu Trzech. W owym czasie tamci użytkowali sobie awans, a ci zostali ulaskawieni.

Nie, stanowczo, ten nieszczęśliwy, ten pseudo-paser po dwakroć zaślugał na wyrok skazujący: po pierwszy za ten zegarek, po drugie z powodu skandalu, jaki wywołał, umierając sobie jak duren na skutek policyjnej „laskawości”. Tak czy owak wyrok, jaki na niego by spadł, powinien przynieść mu śmierć. To się już stało — powiecie mi. Tak, ale oto postępowanie procedury sądowej: dawniej istniało wzięcie prewencyjne, a teraz mamy egzekucję uprzedzającą wyrok... Skradziony zegarek (a może już odzyskany) tyka sobie w tej chwili na ręku nieznanego spokojnym rytmem, takim, jakim bije serce każdego z tych Trzech, odpowiedzialnych za Dien Bien Phu. Historia nie mówi, czy Herod i Pitagoras zostali nagrodzeni awansem. Może nie, zresztą wierzę mi, oni stanowczo byli mniej winni...

(1954)

KONRAD EBERHARDT

Puste obszary

BEZPAŃSKIE PSY” Gilberta Cesbrona następują w dziejach twórczości tego pisarza po sławnej i najlepszej jego powieści „Święci schodzą do piekieł” (Les saints vont en enfer). a poprzedzają jego polemiczno-publicystyczny zbiór szkiców i felietonów „Ce siècle appelle au secours” (Ten wiek wzywa pomocy). Dlatego mówiąc o tej książce, wydanej ostatnio przez „Pax” — widzę ją niejako w towarzystwie tych dwóch, wzmiankowanych pozycji. Nie bez większej przyczyny. Przez te trzy, tak istotne dla Gilberta Cesbrona i dla całej literatury tworzonej przez katolików we Francji — książki, które wyciągają wspólne myśli, problemy ich sąsiadują z sobą, a wnioski się dopielniają.

Los księży - robotników, którzy rezygnują z ciepłych i wygodnych plebanii, rzucają się na dno robotniczej egzystencji, dzielą ciężkie warunki życiowe tych ludzi — nie odbiega daleko od decyzji wychowawców ratujących młodzież zdeprawowaną przez środowisko społeczne i niedzę. Ojciec Piotr, misjonarz z Sagny, młody, żarliwy bohater „Świę-

tych schodzących do piekieł”, nie przypomina na pewno zewnętrznie sędziego dla nieletnich z „Bezpańskich psów” p. Lamy, starszego, siwego pana o łagodnym uśmiechu. Ale wewnętrznie mają wiele cech wspólnych. Łączy ich przyjęta zasada apostołstwa, przyjmowania ryzyka, obalania szablonów myślowych, realizowania swoich zasad postępowania wbrew uznanej powszechnie logice. Łączy ich wiara w tego samego Boga. I nie w Stwórcę — monarchę przeprowadzającego plany swojej „wielkiej dyplomacji”, ale w Tego, „co nie jest robotką Bogiem i tego stworzenia, co pelza”, patrona gwałtowników, zapalczków, idących na przelaj. Pisząc w „Ce siècle appelle au secours” gorzki nekrolog Michała Favreau, księdza robotnika zabitego w porcie Bordeaux spadającą belką, Cesbron powiedział: „Zapylają je raz jeszcze, czy Roztropność jest cnotą, czy „zaufanie” i „cierpliwość” są istotnie prawdziwym sposobem wiary w Ducha Świętego w większym stopniu niż „przewidywanie” i „zapowiedzianie”. Obejmując jedynym spojrzeniem historię Kościoła widzę tam nieroztropnych przez miłość, nietozumnych ofiarodawców samym sobie, upartych męczenników.”

Gdy Cesbron pisał te słowa, dramat księży - robotników dobiegł już końca. Przerobność i niepokój o skutki tego wyjątkowego eksperymentu przeważyły szalę, działalność O. Piotra straciła podstawę kościelno-prawną. Również na końcu „Bezpańskich psów” sędzia Lamy, heroiczny burzyiciel starych zasad „sprawiedliwości dorostych”, opuścił placówkę, a miejsce jego zażmuje prokurator Doublet, z bernardowskiej rodziny „Les-bien-pensants”. Każda misja apostołska przyjmuje na siebie ryzyko, skutki swojej koniecznej nieroztropności. Dlatego każda przedzej czy później znajduje swój kres spowodowany właśnie tym „kuszeniem niemożliwości”, tym, co Francuzi nazywają — „tenter l'impossible”. Ale musimy wierzyć, że są to ziarna, które nie padają na skalę. Ani praca O. Piotra, ani praca sędziego Lamy. Ani śmierć Michała Favreau.

Czemu stałe umieszczam te trzy różne książki na jednej linii? Każda z nich przynosi przecież własny materiał obserwacyjny, inne problemy, inne rozwiązania tych czy owych spraw. Niemniej wszystkie one podporządkowane są naczelnej myśli, która przenika pisarstwo Cesbrona: obecności katolika we współczesnym

świecie. Gilbert Cesbron jest pisarzem publicystą, książki swoje poświęca określonym sprawom, może nawet czyni to zbyt spieszenie, nie ukazując pełnych, czysto artystycznych możliwości swego talentu. „Święci schodzący do piekieł” poddani skrupulatnej, twórczej korekcie mogliby stać się świetną powieścią. I „Bezpańskie psy” zyskałyby daleko więcej po takim zabiegu. Niestety, niedbałość literacka tej książki trzeba unieć widzieć na dalszym planie, zwracając przed wszystkim uwagę na jej wartości publicystyczne i intelektualne. Publicystyka i ideologia nie zawsze wychodzą sztuce na dobre. Ale czym byłaby dla nas sztuka bez ideologii?

Przez beletrystykę i publicystykę Cesbrona przebiega szlak poszukiwania właściwego stanowiska wobec współczesności. Ten problem wyrósł w „Świętych” angażując cały materiał rzeczowy dotyczący stosunków społecznych problematu francuskiego, ta sprawa odezwała się w „Bezpańskich psach” dotykając tym razem w większym stopniu problematyki moralnej. O nią głównie chodzi w zbiorze artykułów publicystycznych „Ce siècle appelle au secours”

(Dokończenie na str. 7)

N A T L E P R Z E M I A N

„Ale — zastanawiam się — czy dobrobyt, technika, lekkość życia w epoce, która wykorzystuje w pełni potęgę energii atomowej, uczyni ludzi szczęśliwymi? Jakże nierozumiane są takie pytania — poprawiam się zaraz — czy można uogólnić jednostkowe zawołanie szczęścia? Nie wierzę w istnienie narodów szczęśliwych, nie sądzę, by mogła narodzić się ludzkość szczęśliwa. Cieszę się z tego niesłychanego postępu techniki, skracającej dowolnie czas i przewyżniającej przestrzeń, ale równocześnie dostrzegam — tu przynajmniej w zamerykanizowanej Europie — wcale nierównoległy do tego wzrost kultury technicznej rozwój kultury umysłowej i moralnej. Nie świadczą o jej podnoszeniu się ani pisma tutejsze, ani książki. To, co ułatwia życie potoczne, nie zawsze sprzyja życiu umysłowemu, duch ludzki nie zyskuje wiele na wspaniałych wynalazkach, stanowiących chlubę cywilizacji. Nie chce powiedzieć, że tracą na głębi i sile, na ile ciało wzniesie się potrafi w przestrzeni powietrznej. Byłoby to niesłusznym i nierozumnym uproszczeniem. Ale nie można również zaprzeczyć faktowi, że gwałtowny rozwój cywilizacji zawisł w tej chwili wraz z całym ładunkiem bomb atomowych i wodorowych nad przepaściami”.

Mieczysław Jastrun

(z „Dziennika pobytu w NRF” (2), „Nowa Kultura” nr 5 (305).

Zyjemy w epoce konfliktów i walk, które w stopniu nieznanym historii objęły swym zasięgiem cały świat. Najgłębszy sens tej walki polega na tym, czy dalszy, niekontrolowany przez człowieka, żywiołowy rozwój cywilizacji materialnej pociągnąć ma nas siłą nieudzielnego bezwładu w przepaść chaosu, czy też zwycięży humanistyczny nurt okiełznania cywilizacji i podporządkowania jej człowiekowi — istocie myślącej, czującej i wartościującej. Dylemat ten determinuje podstawowy konflikt naszej epoki, wypełnia najistotniejszą treścią pojęcia społecznego postępu i wstępnictwa, rozwoju i rozkładu. Określa metody działania i cele zarówno tych, którzy urzeczni fatalizmem cywilizacji i zaplątani w jej antynomie, nie czują się jej zdolni przeciwstawić, jak i tych, którzy wzięli na siebie niesłychanie trudne, odpowiedzialne zadanie zwolnienia jej człowieka, nadania jej humanistycznej treści, zwolnienia jej historii w linii wstępującej a nie zstępującej, schyłkowej. Wielki to egzamin przed historią. Jego wynik zależeć będzie w stopniu decydującym od twórczych zdolności wypełnienia epoki współczesnej cywilizacji materialnej, wielkimi kierowniczymi treściami ideowymi i kulturalnymi, zdolnymi i nowo pokierować w interesie człowieka, kultury i postępu.

Zyjemy w tym kręgu współczes-

nego świata, który poprzez rewolucję socjalistyczną wypowiedział się za postępek. Powiedzieliśmy już „a” nowego alfabetu zarówno swej własnej historii, jak i całemu światu, który nam się z najwyższym zainteresowaniem przygląda. Olbrzymim wysiłkiem wyrzębujemy się z dna, gdzie zepchnęły nas jako słabszych konflikt upadającego świata — do niedawna jeszcze naszego suwerena. Wyrzębujemy się z potężnymi guzami i ambicją nieopowracania na dawne miejsce. Nie wyposażyliśmy jednak jeszcze całkowicie na nowo naszego ekwipunku, nie pozbyliśmy się wielu zbędnych obciążań i nie zawsze dobre znamy drogi, po której należy iść. Czasem również zapominamy, że nie wystarczy używać tylko jednej nogi, aby posuwać się naprzód i sama wspinaczka nie jest jeszcze dostatecznym, precyzyjnym określeniem celu, który ze względu na swoją ideową ogólność nie został jeszcze przez wielu w ogóle dostrzeżony, bądź też przystojony został przez masę drobnych, „etapowych” szczegółów.

Wraz z dokonaniem w Polsce podstawowych przeobrażeń nastąpiło coś, co nastąpić chyba musiało: odpreżenie spełnienia, względne osłabienie, które — jak wiadomo — zawsze sprzyja pokonaniu, nawet nieprzyjaciół. Cel brzmiał pierwotnie: usunąć ustrojowe przyczyny niesprawiedliwości i stworzyć podstawowe przesłanki dla budowy społecznego dobra. To pierwsze zostało już w znacznym stopniu osiągnięte, ale — jak pokazało doświadczenie — nie jest warunkiem automatycznie przesądającym spełnienie również drugiej części przyjętego programu, a w każdym bądź razie nie stanowi warunkiem wszechstronnie dostatecznego. Co więcej, „automatyzm” wszechstronnego społecznego funkcjonowania warunków obiektywnych nie wzrasta wcale wraz z procesem niełatwego pomnażania materialnych, rzeczowych podstaw socjalizmu. Co więcej, czasem sam proces pomnażania materialnych podstaw socjalizmu powoduje powstawanie nowych, nie zawsze — niestety — pożądanych zjawisk w życiu społecznym.

Słabość tego nowego etapu znajduje wielostronny wyraz zarówno w ideowym zagubieniu indywidualnych dróg i postaw ludzkich, jak i w niefortunnej „improwizacji” ideowej wódr ludzi o wyobraźni zakrojonej

na miarę „zdeteminowania przez etap”.

Socjalistyczne ramy „rzeczowe” naszego życia społecznego wypełnia treść bardzo różnego autoramentu. Na miejsce zaburzonych przez wojnę i rewolucję zasad i obiegowych systemów wartości związanych z przedrewolucyjną strukturą społeczną, nie zawsze przyszły nowe. Potargane przez wkrócenie cywilizacji tradycyjne więzi społeczne wsi, ogromny wpływ nowych możliwości ekonomicznych na życie ludzi — stworzyły sytuację, w której nowa struktura społeczno - gospodarcza nie determinuje jednoznacznie dróg ludzkiego postępowania. Praktykowane do niedawna zawiązanie kryteria oceny społecznej człowieka, brak uświadomionych perspektyw humanistycznych wśród świeżo awansowanych społecznie klas połączone z uproszczoną na codzienny użytek, ogólnie znaną, deprecjonującą oceną całego ideowego bagażu przeszłości — oto dalsze czynniki, które spowodowały powstanie próżni ideowo - moralnej wokół wszytkich tych spraw, które nie dotyczą bezpośrednio stosunku człowieka do tzw. „polityki” i życia społecznego sensu largo.

Socjalizm jest dotychczas nieprzetłumaczalną dla pozornie drobniejszych, „prywatnych” spraw codziennego życia. Wystarczyło przeczyć być dobrym pracownikiem i lojalnym obywatelem. Reszta pozostała do własnego uznania, reszty nie mierzyło się socjalistycznymi kryteriami. Dokonywał się skok w królestwo relatywności.

Oto najogólniejsze tło dla oceny sytuacji panującej również w dziedzinie obyczajowości płciowej i obecnego położenia instytucji małżeństwa i rodziny.

I jeszcze jeden czynnik, którego pominięcie skrzywiłoby obraz. Wyzwolenie społeczne i ekonomiczne kobiety! Wyzwolenie... czasem w próżnię społeczno - obyczajową. Zrównanie w obowiązkach i prawach, niedokreślenie ideologicznie i obyczajowo. Kobieta nie przestała być matką i żoną, wkraczając szeroko do produkcji i życia społeczne, nie utraciła praktycznie żadnego ze swoich dawnych obowiązków w życiu rodzinnym. Traktorzystka, kłaczka, sekretarka czy dyrektor — nie przestała ani na chwilę być kobietą: matką i żoną. Trudna sprawa, w zakresie masowym bez precedensu, współcześnie pokryta ogólnymi

slogami, załatwiana za pomocą żłobków, przedszkoli i zakładów zbiorowego żywienia. To bardzo wiele ze względu na realne dopomożenie kobiecie - pracownicy, to bardzo niewiele ze względu na tworzenie nowego wzoru kobiety jako żony i matki.

Wydaje mi się, że warto, podejmując ocenę sytuacji społecznej w tym zakresie, zatrzymać się chwilę nad pewnymi obiegowymi, pozytywnymi treściami ideowymi socjalizmu.

Dokonywana w kraju rewolucja przemysłowa, wzrost możliwości ekonomicznych, wyrwanie się z impasu zacofania i nędzy, ofensywa techniki, unowocześnienie całego życia — wyzwoliły powszechne dążenie do zaspokajania potrzeb, mierzonych nie zawsze naszymi aktualnymi możliwościami obiektywnymi. Narodził się powszechny głód życia nowoczesnego, bogatego, obfitującego nie tylko w obowiązki, ale i różnie przyjemne wygody i rozmaite formy. Zjawisko skądinąd we wszechmiar pozytywne i dynamizujące nasze życie, wyzwalające nowe siły i przyspieszające tempo budowy, stało się nie tylko humanistyczną treścią ideową socjalizmu, ale na obecnym etapie nawet hasłem naczelnym. — Walka o wzrost stopy życiowej! — W pełności nie wyczerpuje ono jednak ideologii socjalizmu nawet na dziś. Nie uczy ludzi żyć w pełnym tego słowa znaczeniu. Czasem, a może nawet często, gdy hasło takie trafia na grunt ideowego prymitywizmu, przyciera zwyrodniałą postać: budzi chęć hedonistycznego, powierzchownego użycia. Przesztania socjalizm.

Program społeczny, różni nas diametralnie od kapitalistycznego zachodu. Rewolucja cywilizacyjna nas do niego niebezpiecznie zbliża, niebezpiecznie, ze względu na ideologiczne niedookreślenie treści kulturowych, na to, co już raz określiłem jako dotychczasową „nieprzetłumaczalność socjalizmu”, a w każdym bądź razie niejednoznaczność „przetłumaczalności socjalizmu” na sprawy obyczajowości i na wiele innych spraw życia ludzkiego. Wyzwolenie potrzeb pozbawionych szerokiach kulturalnych perspektyw niebezpiecznie zbliża nas do tej sytuacji, którą Mieczysław Jastrun z tak głęboką, humanistyczną troską ocenił w swym „Dzienniku pobytu w NRF”.

Interesujący jest fakt, że sytuacja

panująca w tej chwili w dziedzinie obyczajowości płciowej rozbudziła powszechny niepokój, że wszyscy zabierający głos w dyskusji oceniają ujemnie obecne stosunki. Oceniają, to bardzo niewiele ze względu na tworzenie nowego wzoru kobiety jako żony i matki.

Zobaczymy, czy postulowany przez rozkładającą się burżuazję, wydedukowany z „żywiłowej” rzeczywistości ideał wolności obyczajowej służy człowiekowi, jego szczęściu. Zobaczymy czy służy kulturze i postępowi, czy jest w jakiegokolwiek formie do przyjęcia, czy może być podstawą normowania obyczajowości i pojęć moralnych w społeczeństwie socjalistycznym.

Pozwólm sobie skorzystać w tym celu z przyswojonej czytelnikiem polskiemu przez Zygmunta Kałużyńskiego analizy i oceny pracy amerykańskiego burżuazyjnego seksuologa prof. Kinseya (zamieszczonej w książce „Podróż na Zachód” oraz artykule „Co kobiety wynały doktorowi Kinsey” — „Nowa Kultura” nr. 8 (204).

„System zmysłowy kobiety, zdaniem Kinseya, jest — po prostu — odmienny od męskiego. Mężczyzna łączy się pod wpływem namiętności i gdy nie znajduje satysfakcji erotycznej w małżeństwie — albo stara

się o rozwód, albo bierze kochankę, albo popada w alkoholizm. Kobieta natomiast wychodzi za mąż by założyć dom, nawiązać trwałe stosunki uczuciowe z jednym mężczyzną oraz mieć dzieci, które stać się mogą główną treścią jej życia”. „Jeśli pozycje zmysłowe z męgiem nie przynosi jej satysfakcji — pisze dalej Kinsey — przeciętna kobieta skłonna jest się z tym pogodzić, ponieważ aktywność erotyczna nie jest dla niej tak ważna jak dla mężczyzny”. „Kinsey daje obraz cywilizacji, gdzie na każdym kroku panuje egzaltacja erotyzmu (idzie oczywiście o styl życia na Zachodzie). „Olbrzymia literatura pornograficzna — pisze Kinsey — wyolbrzymia przedkomą rozwiązłość kobiet, przedstawiającą je jako nienasycone...” „Drugim tom (pracy Kinseya — przyp. mój) był niespodzianką: dojrzwane i przypuszczane zepsucie kobiet okazało się mitem ukutym przez mężczyzn”.

„Przeciętna kobieta, przytłoczona panującym wokół erotyzmem, ulegająca naciskowi tego, co uważa za opinię powszechną, sądzi, że sama jest nienormalna i często udaje uczucia, jakich nie doznaje, byle tylko nie odróżniać się od nasyconego zmysłowością otoczenia...” „Czuje się zgubiona, obca, niedolna dostosowując się do wzoru, jaki się jej podsuwa”.

Czy przypadkiem i u nas nie daje się zauważyć podobnych objawów? Czy wokół sprawy życia seksualnego nie rozpowszechnia się swoista mitologia, czy nie ma u nas czasem kultu erotyzmu i czy niektórzy ludzie mieniący się socjalistami nie ulegają „filozofii wulgarnego biologizmu” — jak ją określa Zygmunt Kałużyński w odniesieniu do Ameryki. Właśnie wulgarny, antyhumanistyczny biologizm!

O książce Kinseya napisał jeden z jego krytyków dr Menniger, że „nosi na sobie piętno nieudzielnego cywilizacji, gdzie automatyczny, zwierzęcy odruch seksualny staje się rodzajem sportu czy salonowej zabawy. Na statystyce Kinseya spoczywa piętno destrukcji”.

O SIAGNELISMY etap, gdy co trzeci szanujący się publicysta dorzuca cegiełkę do walki o nową moralność. Zebrało się już wiele takich cegiełek, składanych z prawdziwą troską o tę dziedzinę życia, która dotąd nieco umykała spod piór — często w zacisze kawalerskich pokoiów, często na sąle sądowną. Przewidyuję ostatnio artykuł Krzywickiej uzmocnił we mnie przekonanie o konieczności skrupulatnego badania tych cegiełek, czy wśród nich nie znajdują się przypadkiem pigułki kolportowane przeciw opinii publicznej, wchłaniane przez wielu, przyjmowane i kwitowane życiem. Coś mi ta pigułka Krzywickiej nie pasuje do tego, co wiem o moralności socjalistycznej od klasyków marksizmu — trochę mi traci... moralnym brakorobstwem. Bardziej mi to chwila przypomina poglądy Bertranda Russela niż Lenina. Istnieje wciąż jeszcze u nas pewien typ widzenia świata będący zapewne dziedzictwem okresu burżuazyjnego — świat zastawiony łóżkami, wśród których krzątają się zwycięzcy rewolucji. Według tej mentalności socjalizm to każdy z każdym, bo państwo myśli o reszcie, moralność socjalistyczna zaś to moralność wyciągniętej ręki. Takim socjalizmem straszono naszych ojców, takim socjalizmem wciąż jeszcze straszy się niewinne dziewczątka w krajach kapitalistycznych. To był jeden z najpoważniejszych argumentów antysocjalistycznej propagandy, której jeszcze i dziś niektórzy „socjalistyczni” teoretycy moralności swymi poglądami wkładają brzoń do ręki. Za granicą artykuł Krzywickiej mogłyby powieść w tysiącach egzemplarzy z nadrukiem „Patrzcie, do czego dążycie” zacięki przeciwnicy idei socjalizmu i straszny nim strakujących robotników. „Nakaz monogamii i monoandrii w znaczeniu poprzestawania na sobie jednej pary przez całe życie i dawniej mocno wątpliwy (do czego się tu nawiązuje! — podkr. moje), w warunkach bujności życia, poznawania coraz to nowych ludzi, niezależności materialnej pracującego człowieka, zarówno mężczyzny, jak kobiety, rozspadł się definitywnie w proch, choć nie tylko Kościół, ale niektórzy bojący się patrzeć przez moralność socjalistyczną usiłują uczynić go nadal przedmiotem kultu”. Popląca się z radości marzyciele o krucjacie przeciwko Wschodowi mając w swych rękach autentyczny, niepotrzebujący przeróbek i przyprawek dowód socjalistycznego rozkładu i zgnilizny. Zapląca z żalu nad „Polską wspólnotą kobiet” i „upadkiem narodu” emigranci pochyleni nad lekturą bojowniczką o „nowy ład” seksualny. Tymczasem nie o taki ład toczą bój ludzie, których sprawą jest troska o dobry, mądry rozwój naszego społeczeństwa. Wystarczyło śledzić uważnie rozwój dyskusji wokół problematyki moralnej, żeby stwierdzić, jakie stanowisko zajmowała

w tej sprawie prasa prawdziwie marksistowska pojmująca swój obowiązek. Z pewnością nie witano wiadomości o wzrastającej liczbie rozwodów z entuzjazmem, z jakim witamy wzrost produkcji stali czy wydobywa węgla. Nie mam powodów przypuszczać, że w Komitecie Centralnym klaszcze się w ręce z radością, że krzywa rozwodów w naszym kraju wciąż rośnie. To przeświadczenie utwierdza we mnie „Trybuna Ludu” nr 336: „Dziedzina, w której szczególnie często dochodzi do naruszenia zasad etyki socjalistycznej, są stosunki między mężczyznami i kobietami. Sprawa moralności socjalistycznej w stosunkach między mężczyznami i kobietami jest zagadnieniem niełatwym, wymagającym szerokiego odrębnego omówienia. Warto tu jednak pod-

powołać czy nie — fakt jest faktem” Otóż to się nam nie podoba. Bo musiałby nam się podobać alkoholizm i prostytucja. Bo musiałby nam się podobać chuliganstwo i kradzież mienia państwowego. Nie podoba nam się uznanie supremacji faktów i wyciąganie z tego normatywnych wniosków. Gdyby Mieczysław przelał się supremacją faktów, pszenica ciągle miałaby, powiedzmy, dziesięć ziarnek w kłosie zamiast pięćdziesięciu (nie znam się na tym dokładnie). Ludzie kradną mniej więcej tak długo, jak istnieje ludzkość, tylko że nikt nie wyciąga z tego wniosku, że kradzież powinna być szczytnym dążeniem ludzkości. Z faktu, że istniały i istnieją setki złych małżeństw nie wynika, że monogamia umarła wśród szczytów monogamicznego łożka, któremu p.

Olimpiady, podzieliłem się jej wynikami z ludźmi, którzy się na tych skomplikowanych zagadnieniach znają. Ku mojemu rozpaczy powiedzieli mi, że to jakiś kuchenny marksizm. Ze każda nadbudowa zmienia się wraz z bazą, do której przynależy, a małżeństwo istniało przez wiele lat. I wreszcie, że nie należy interpretować mechanicznie prawa o bazie i nadbudowie. I tu nie negując roli bazy w kształtowaniu ludzkiej świadomości doszedłem do odkrytej przez p. Krzywicką „dialektyki małżeństwa”, w myśl której „każda epoka napędzała małżeństwo inną treścią”. Zaczęłam się zastanawiać, gdzie leży treść małżeństwa. Doszedłem do wniosku, że w zależności od bazy treść ta leżała w miedzianym kociołku i szpulce nici po stronie

istnieniu jeszcze robotnicy Manchesteru. Czy brak skłonności do związków tego typu należy tłumaczyć tylko brakiem wyżej wymienionych rekwizytów materialnych?

W świetle tych „treściowych” rozważań nie dziwi mnie obraz nowego małżeństwa, które kreśli Krzywicka; bodże jego są szlachetniejsze i piękniejsze niż dawniej. Wśród względów ekonomicznych znajdujemy już tylko takie drobiazgi, jak „własny pokój dziewczyny czy chłopca (—)... i wreszcie to, że zadowolony, cierpiący chronicznie na brak czasu, a nie lubiący przypadkowych spotkań (skąd tacy się jeszcze biorą — przyp. mój), znajdują bliższego człowieka po powrocie z pracy, no i łóżko...” Ludzkość znalazłszy się w łożku odetchnęła — jej długotrwale pragnienie zostało zaspokojone bez kamienia i aptek, bez pruderii i obłudy — tylko „w małym mieszkanku na Mariensztacie”. Coś mi to bardzo wygląda na małżeństwo burżuazyjne oglądane przez szkiełko pomniejszające — mniejsze aspiracje, mniejsze rekwizyty materialne, mniejsze wymagania.

Kryteria moralne Krzywickiej już z dala trąca Russellem. Ocenę ludzkich postępków przeprowadza sędziwa autorka według terminologii „brzydko — ładnie”. Dowolność tej metody wykazuje natychmiast historia małżeństwa Dickensa, który nie opuszczając nienormalnej żony dla jej pięknej siostry (a to ładnie!) postąpił „brzydko”. Zaraz zaraz: brzydko czy ładnie? „Brzydko jest i nieładno, kiedy w czasie jakiejś wyprawy alpejskiej ktoś ratuje się, pozostawiając na pastwę mrozu czy niepogody towarzysza”. Wprawdzie na wyprawę alpejską nie zabiera się pięknej kobiety; gdyby się to czyniło, pierwszy człon tego moralnego paragrafu zostałby niechybnie zmieniony. Nie mówiąc już o takich drobiazgach jak to, że dla pana X ładnie jest zamienić żonę po dziesięciu latach na młodszą i ładniejszą, dla pana Y zaś po trzech miesiącach itd. „Moralność jest sprawą gustu i smaku” głosił Russel — dziwnie, że i w tej części świata posiada zwolenników. Bo życie pokazuje co innego; że nie można moralności opierać na dylemacie — brzydko czy ładnie. Jeśli ekspedient okrada sklep i państwo, to brzydoko (choć za lekturze Krzywickiej zaczęłam się wahać), ale to jeszcze i przede wszystkim przestępstwo i złodziejstwo. A na pytanie, jak postąpiłem wobec p. Krzywickiej wytykając jej pewne luki w rozumowaniu, ona odpowie niechybnie: brzydoko — ja odpowiadam: ładnie.

Zupełnie osobnych wyjaśnień wymagają poglądy Krzywickiej na sprawy kościelnej koncepcji małżeństwa i życia seksualnego. Gdyby z podobnych źródeł ktoś czerpał poglądy na astronomię i był przy tym nauczycielem, dzieci uczyłyby się w szkole, że ziemia jest płaską i opiera się na czterech słoniach. Bio-

BRZYDKO CZY ŁADNIE

KAZIMIERZ W. OLSZEWSKI

kreślić, że naszej moralności obce jest zarówno mieszczańskie świętoszkostwo, jak idące w nim w parze rozwroderstwo. Partia i państwo ludowe otaczają opieką rodzinę, dążą do umocnienia jej trwałości. Na członkach partii ciąży więc szczególnie obowiązek troski o zdrową atmosferę życia rodzinnego, o jak najlepsze wychowanie młodego pokolenia. Partii obca jest drobno-mieszczańska praktyka częstego zmieniania partnerów w pozyciu kobiety z mężczyzną: partia z troską patrzy na wzrost liczby rozwodów w kraju”.

Tak pisze w organie Komitetu Centralnego J. Dziewicki. Nie posądzam o brak trzeźwości moralistów z „Trybuna Ludu” i pocieszam się myślą, że za granicą cieszą się ona pozytywnością nie mniejszą niż „Nowa Kultura”.

Cóż sprawiło, że Krzywicka tak się zawzięła na biedną monogamię odprawiając nad nią żalobne nabożeństwo? „Faktycznie monogamia i monoandria na przestrzeni całego życia ludzkiego przestały istnieć. Można się gorszyć, biadać, lamentować, to fakt nie zmienia — fakt jest faktem (—)... Czy się nam to

Krzywicka tak zacięła od kilku dziesięciu lat podpiłowyje nogi.

Jest faktem, że bezpowrotnie zginęło tzw. małżeństwo burżuazyjne oparte na zależności materialnej, koligacjach czy równie brudnych sprawkach, posiadające zresztą dośrodek skromny zasięg społeczny (patrz artykuł Jacka Debińskiego z 4.II.56) funkcjonujące głównie poza domem prywatnym a często w publicznym, małżeństwo, które p. Krzywicka tak ochoczo utożsamiała z ideą monogamii w ogóle, przebijając w ten sposób kukłę szpilki.

Tu dochodzimy do „dialektyki małżeństwa”. Już się z nią kiedyś zetknąłem. Otrzymałem list i wy-czerpując list — artykuł, którego autor usiłował mi wytłumaczyć, że urodzaj na rozwody jest w zgodzie z prawami marksistowskimi o bycie i świadomości, o bazie i nadbudowie. Kontynuując rozmowę nie tego typu doszedłem do wniosku, że chuliganstwo i alkoholizm to też wynik bazy, a o kilka myśli dalej odkryłem w bazie przyczynę niskiego poziomu naszej piłki nożnej. Zaskoczyła własną odkrywczością, jakże cenną wobec walki z alkoholizmem i zbliżającej się

kobiety a w toporze, maczudzie czy łuku po stronie mężczyzny. W miarę rozwoju bazy treść ta pęczniała poprzez hektary, apteki, czy kamienice i doszła do szczytu w momencie, gdy z jednej strony wiano sturęcz ręce nowożeńców, z drugiej sznurkiem — dwa pakiety akcji Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Oto zmieniła treść małżeństwa przy zastosowaniu „metody badawczej” p. Krzywickiej. W moim rozumieniu tych spraw tak rozwijała się patologia małżeństwa w związku z liczbą wyżej wymienionych kamienic czy aptek. Treścią małżeństwa był i jest bezinteresowny związek dwójga ludzi, a jeśli przy jego zawieraniu kierowano się przede wszystkim i wyłącznie względami ekonomicznymi, gwałcono tym samym jego istotę, która przecież w swej niezmiennej treści pozostawała związkiem dwójga ludzi formujących podstawową komórkę społeczną. Debiński słusznie wskazywał braki „metody badawczej” p. Krzywickiej, która ograniczyła się do analizy małżeństwa wśród burżuazji czy wielkich feudałów. Ze oprócz „wiktoriańskiego małżeństwa”, opartego częstokroć na wymianie fortun i osunętego pruderii,

CHWAŁA SYBARYTOM!

JANUSZ Warmiński należy do pisarzy o dużym zmysie aktualności. Pamiętamy powdzenie jego „Zwycięstwa”, dramatu, który dziś już wywołaby więcej sprzeciwów, a który w swoim czasie nowatorsko podejmował problematykę wiejską. W „Melodramacie”, sztuce wystawianej obecnie w Teatrze Ateneum, nawiązując do aktualnie dyskutowanych spraw etyki seksualnej i małżeństwa, wyprzedził Warmiński polemiki prasowe, a przede wszystkim postawił problem bardziej prosto i sugestywnie niż niektórzy publicyści podejmujący ten sam temat. Usłyszeliśmy od nich wiele słów o przewyżczeniu obudy, o przełamaniu resztek moralności mieszczańskiej, ale zbyt często zapominano o sprawie zasadniczej, o zwykłej, nie kwestionowanej w innych dziedzinach życia odpowiedzialności człowieka za swoje postępowanie, za skutki swego wyboru.

DWIE ODPOWIEDZIALNOŚCI

WARMIŃSKI przedstawia w swojej sztuce środowisko specyficzne — dobrze sytuowaną materialnie inteligencję twórczą, a także sytuację dość niedocześnie, cnotę często mającą swe odpowiedniki w rzeczywistości pozaartystycznej. Perypetie małżeństwa Chojnowskich są nie tylko sprawami ich kręgu społecznego. Sprawa uczciwości, odpowiedzialności za siebie i za drugiego człowieka, problem ludzkiej słabości i ludzkiego heroizmu nie są związane z jakimś środowiskiem.

Na każdym kroku jesteśmy odpowiedzialni za swoje postępowanie, za swoje błędy, złą wolę, lenistwo. Dlaczego więc nasze życie osobiste ma zostać pozabawione mądrości i szeroko pojętej odpowiedzialności? Tym bardziej, że sprawy osobiste człowieka wiążą się i przenikają z życiem społecznym. Nasza indywidualna postawa etyczna decyduje ostatecznie o moralnej sytuacji społeczeństwa, hamując przy tym lub przyspieszając rozwój wszystkich dziedzin życia społecznego. I tu funkcjonuje „prawo ławiny”, obowiązujące konieczność przewidywania; mały kamyczek — małe zaniedbanie spowodować może katastrofę. Lekomyślność, brak odpowiedzialności w dziedzinie etyki osobistej, wciąga człowieka na pozycję szkodnika społecznego, krzywda wyrządzona jednej lub kilku najbliższym osobom rozrasta się do wymiarów groźnego problemu społecznego. Jednostka zarazona złem grozi otoczeniu jako rozsądnik zła. Czy Chojnowski dopiero wtedy staje się człowiekiem nieuczciwym, gdy zwalnia z biura dziewczynę, która spodziewa się jego dziecka? Czy nie ma związku logicznego między zdradą żony, między lekceważeniem swego postępu, a zdradą ideologii, którą wyznaje? Przecież tego pochwalić nie może nawet najbardziej w sprawach seksualnych liberalny publicysta. Lekceważenie ogólnie przyjętych zasad moralności musi w konsekwencji prowadzić do chaosu moralnego, osłabić jasność oceny własnych czynów. Socjalizm zaś jest zaprzeczeniem prawa dżungli.

Postać Chojnowskiego odtworzył w „Melodramacie” Witold Kałuski. Nie była to kreacja dobra, zbyt banalnie i powierzchownie zaznaczył artysta cechy psychiczne swojego bohatera. Ale za to prawidłowo przedstawił proces moralnego „rozklejania” się Pawła, uwydatniając przy tym osobisty wdzięk Chojnowskiego, miękkość i pozorną niezłomność jego charakteru, by w scenach następnym jego mocniej zaznaczyć źródła jego moralnej i intelektualnej słabości. Tchórzostwo i egotyzm, brak pełnej odpowiedzialności za swoje postępowanie prowadzą go do zakłamania, do krzywdy drugiego człowieka. Ten „niezłomny” moralizujący inteligent nie umie zdobyć się na rzecz trudną, ale tak istotną dla społeczeństwa, dla układu społecznego, którego celem ma być zlikwidowanie fałszu i zakłamania. Nie umie przyłożyć jednej miary do czynów swoich i postępowania innych, ucieka od odpowiedzialności, kompromituje się nie tylko moralnie, ale i intelektualnie. Staje się małym, tchórzliwym człowiekiem drżącym o swoją karierę, nie umiejącym pogodzić się z odejściem żony, którą zdradził.

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

pisał bowiem sztukę — utwór artystyczny — a to zobowiązuje. Podwójnie.

Autor „Melodramatu” — być może nie przewidując, że jego sztuka będzie argumentem polemicznym w dyskusji — rozstrzygnął spór o małżeństwie na rzecz zwiększonej odpowiedzialności, na rzecz pełniejszego człowieczeństwa.

Przypomniał również o społecznej wadze małżeństwa, o godności związku zawartego między dwojgiem ludzi. W sztuce Warmińskiego postulat tej godności ma podłoże laickie, nie odwołuje się więc do sakramentalnego charakteru małżeństwa. Ale ta czysto doczesna argumentacja, posiada również i dla człowieka wierzącego duże znaczenie, wskazując na społeczno-moralne uzasadnienie podstawowych nakazów naszej wiary.

wyrzeczeń macierzyństwa, i podświadomie uchyla się od równie wielkiego trudu „wychowania” swego męża. Chojnowska stworzyła sobie cieplarniany zakątek ogrzewany troskliwością Pawła i miłością Juliusza. Zapomniała, że nie wystarczy kochać człowieka, okazywać mu dobroć, czułość, a poza tym żyć we własnym ulubionym światku, lecz że trzeba o tego człowieka walczyć — często z nim samym.

Nie unika odpowiedzialności i Juliusz — człowiek, który za nie-szczęśliwą miłość i równie niefortunną przyjaźń zapłaci spokojem swojego życia. Postać szlachetna, a przy tym bardzo ludzka. Ale i on w znacznym mierze odpowiedzialny jest za rozpadnięcie się rodziny Chojnowskich. Jego miłość spokojna, nie narzucająca się, wytworzyła tę atmosferę usypiającego ciepła wokół Ewy, stąpiła jej czujność wobec męża, nie pozwoliła dostrzec jego oddalania się od niej.

HEROIZM — RZECZ NIE PRZEBRZMAŁA

SA określenia historycznie skompromitowane, które zatraciły swoją realną siłę oddziaływania, pozostały tylko dźwiękiem, ślepym torem, na który spycha się próżne wagony wątpliwej wartości oratorskich popisów. Ale mamy również i pojęcia, których kompromitacja jest tylko pozorna, które często przysypujemy kupą sentymentalnego śmiecia lub w najlepszym wypadku pozwalamy im funkcjonować w jednej tylko dziedzinie życia społecznego, nie doceniając ich roli i sensu w innej. To przeoczenie opinii społecznej, wyrażanej i kształtowanej ze zmiennym skutkiem przez publicystykę, zaprzecza podstawowej prawdzie rzeczywistości, prawdzi o związku wszystkich jej zjawisk. Pobliża takim widzeniu świata, jakie reprezentują znani tuwimowscy „straszni mieszczańcy”.

Takim właśnie „wstydliwym”, niepełnie funkcjonującym pojęciem jest słowo — heroizm. A przecież wiemy wszyscy dobrze, że współczesność wymaga od nas postawy heroicznej. Sprawa heroizmu jest zawsze związana z wyborem, ze świadomą decyzją człowieka, powziętą w imię zdrowego rozsądku, jak i z tęsknotą za doskonałością, z dążeniem do stałej przemiany siebie i otaczającego nas świata. Dlatego będzie to zawsze sprawą postępu, jedynie skuteczną postawą ludzi, którzy sens swego człowieczeństwa widzą w stałym doskonaleniu siebie. Bez takiej postawy niemożliwe jest właściwie przekształcenie otaczającej nas rzeczywistości. Wielka dysproporcja między rozwojem moralności jednostkowej i społecznej a coraz większą siłą materialną, którą rozporządza człowiek, decyduje o tragedii kapitalistycznego świata. Ślady tej antynomii, i u nas w pełni jeszcze nie przewyżczonej, są powodem wielu nieporozumień i tragedii.

Nikt rozsądnie i dalekowzrocznie patrząc na perspektywy rozwoju naszego życia społecznego, nie zaprzeczy, że zbudowanie materialnych podstaw naszej przyszłości społecznej i gospodarczej wymaga wyrzeczeń i wysiłków, które sąsiadują w wielu wypadkach z heroizmem. Dziwne więc, że tak łatwo i często nieodpowiedzialnie usuwa się ten problem z rozważań i dyskusji na temat moralności seksualnej, małżeństwa i macierzyństwa. Nie wolno przechodzić obojętnie obok ludzkich tragedii, nie wolno upraszczać sprawy przez niedostrzeżenie trudności i powikłań. Ale właśnie postawa konsumpcyjna, przesycona wygodnictwem na pewno dalekim klasie społecznej, która swoje prawa wywalczyła ko-

sztem największych wyrzeczeń — taka postawa jest i musi być obca naszej współczesności. Postawa heroiczna jest bowiem daleka od łatwej kezuistyki tzw. moralności mieszczańskiej, jak i od postawy cierpiętniczej. Wiele i sugestywnie mówi o tym sztuka Warmińskiego poprzez postać Juliusza.

Juliusz Wronki nie jest monolitem moralnym, ma świadomość, że istnieją sytuacje wykraczające ponad siły człowieka, którymi w danym momencie dysponuje. W jego słowach znajdujemy wyrozumiałość dla ludzkiej słabości, dla tragedii człowieka, który nie może przekroczyć samego siebie, ale nie ma po-błażania dla zła. Świadczy o tym dalsze postępowanie Juliusza, jego decyzja nie wiązania się z Ewą opuszczającą męża. Juliusz jest przecież człowiekiem nie uznającym religijnych przesłanek etyki, ale kieruje się nakazami moralnymi, które w naszym kręgu kultu-ralnym nie budziły dotąd jakoś wątpliwości. Konsekwencja postępowania, odpowiedzialność i postawa heroiczna przy humanistycznym zrozumieniu i współczuciu dla człowieka ulegającego w walce z sobą i zdecydowanym potępieniu samej kleski — to sens jego światopoglądu etycznego. A czyż to nam czegoś nie przypomina?

Role Juliusza grał Stefan Śródka. Artysta konsekwentnie, często dobitnie zaznaczał moralną postawę swego bohatera, ale tworzył przy tym z niego pewien monolit etyczny. Nie zdołał odpowiednio wycieniować wahań, walk wewnętrznych i ostatecznego, gorzkiego zwycięstwa Juliusza nad samym sobą. Tu przecież nie chodziło tylko o pokazanie człowieka mocnego. Ważne było i wycieniowanie jego psychiki.

SZTUKA, KTÓREJ NIE MOŻNA PRZEMILCZAĆ

MINĘŁO już nieco czasu od premiery „Melodramatu”, a szybko i skwapliwie reagujący recenzenci teatralni (przynajmniej do chwili, gdy piszę te słowa) nabrali wody w usta. Tym razem mam wrażenie, że nie czekają na wielki bęben pochwał. To milczenie jest zdaje się nieprzychylnie. Nie chcę niczego uprzedzać, ale nie wróżę „dobrej prasy” nowej sztuce Warmińskiego. Trudno, redaktorzy bywają czasami konsekwentni i nie lubią, by życie, by sztuka aż tak wyraźnie i zdecydowanie dyskutowały z artykułami, które oni zakwalifikowali do druku.

Sztuka Warmińskiego ma niestety wiele haczyków, do których można by się przyczepić, wiele gwoździ, na których można by „powiesić” autora. Już sama śmiała jej koncepcja może być przedmiotem ataków. Dla zblazowanego widza, dla zblazowanego „intelektualisty” wystarczy, że „Melodramat” jest melodramatem nie tylko z tytułu. Nie dostrzeże on, że melodramatyzm stanowi tu o specyfice utworu, jest ruszowaniem całej misternej koncepcji artystycznej. Nie raczy zauważyć, że ów ton melodramatyczny utworu polega przede wszystkim na sytuacjach, które zakwalifikowano do rekwizytów, a nie decyduje o sylwetkach bohaterów, o ich typie psychicznym.

Określenie — melodramat — jest obecnie synonimem taniej sentymentalności, złej roboty sceniczej, a więc nie mieszczącej się w kategoriach prawdziwej, realistycznej sztuki. Tutaj mamy do czynienia z celowym, a przede wszystkim z konsekwentnie przeprowadzonym zamiarem autora, który sięgając do form wypowiedzi artystycznej po-

zornie skompromitowanych dowodzi, że tam gdzie zaangażowane są podstawowe odczucia człowieka, nie ma spraw nieważnych, nie może być decyzji nieodpowiedzialnych. Za odpowiedzialność obowiązuje.

Przytąd trudnej do zrealizowania pisarskiej jak i scenicznego koncepcji utworu każda rysa, każda pomyłka autorska jest poważnym błędem, wyraźną skazą sztuki.

Osadzając fabułę utworu w dość ekskluzywnym środowisku tzw. inteligencji twórczej, a z drugiej strony tworząc sytuację już nie w cudzysłowie melodramatyczną, po trzecie wreszcie wyraźnie kameralizując — zbyt mało autor intelektualizował swoją sztukę. Warmiński zaznaczał (i słusznie w tym wypadku) pewien dystans intelektualny pisarza-publicyisty wobec spraw rozgrywających się na scenie. W jego sztuce odnajdujemy mimo wielkiej aktualizacji tematu coś z filozoficznych powiastek XVIII-wiecznych z tym, że „Melodramat” zawiera nie owo sceptyczne, niekonstrukttywne spojrzenie na przedstawianą rzeczywistość, lecz przede wszystkim konkretne postulaty moralne. Ale za mało mamy w tym utworze owego esprit, które tak przesyca twórczość sceniczną Francuzów od Moliera po Giraudoux.

Nie zmieniły w tym wypadku sytuacji celowe, choć dziś już z pewnością nie nowatorskie — prolog i epilog. Wyprowadzenie dwóch postaci sztuki z roli widzów w rolę bohaterów utworu, a później ukazanie wszystkich postaci scenicznymi już jako na wprost rozcharakteryzowanych aktorów, dyskutujących o przedstawieniu i jeszcze je przeżywających było zręcznym chwytym autorskim, ale jednocześnie asekuracją i ułatwieniem sobie sprawy. Srodkami zbyt niewyszukanymi przypomniano nam, że i ludzi, i sytuacji na scenie traktować nie trzeba zbyt serio, natomiast serio i odpowiedzialnie przyjąć trzeba problematykę utworu, jego tezy moralne.

Niezbyt konsekwentnie zarysował autor sylwetkę psychiczną doskonałej zresztą w pierwszych aktach Reginy. Niepotrzebne, bo zakłócające przejrzystość koncepcji tej postaci pojawienie się Reginy w akcie trzecim, w scenie dla młodej dziewczyny niezwykle upokarzającej, robiło wrażenie, że i tu pisarz ułtwił sobie sprawę. Kosztem prawdy psychologicznej wzbogacił bowiem konstrukcję sceniczną ostatniego aktu.

W roli tej wystąpiła Alfreda Sarnawska i jest to jedna z ciekawszych kreacji przedstawienia. Można natomiast zarzucić Reginie zbyt wiele chłodu w pierwszych aktach, bardziej liryczne potraktowanie tej bohaterki lepiej by kontrastowało z jej zachowaniem się po decydującym rozmowie z Pawłem w akcie II, w którym swoje bolesne przeżycie próbuje pokrywać cyniczną bez troską.

Wielkie, zlewające się z barwą ściany drzwi willi Chojnowskich zatrząskują się więzując Pawła w jego zwinionej samotności. To nie Juliusz i nie Ewa jest zatrzasnęli. Paweł, wybitny artysta i wielki głupiec, mały egoistyczny człowiek, nie chciał zrozumieć najprostszych spraw, nie umiał pojąć, że budowanie człowieka jest równie ważne, jak wznoszenie domu. Aby wydzwignąć mury, trzeba najpierw wejść w głąb ziemi — tworząc własne szczęście, powinno wejść się w siebie.



Fot. St. Duklewicz

„Melodramat” — Alfreda Sarnawska (Regina), Witold Kałuski (Chojnowski)

Ale posłuchajmy drugiego cytatu. Tym razem z artykułu Ireny Krzywickiej.

„Jeżeli dyskutujemy na tematy małżeńskie, nie możemy uznać za normę czegoś, co zdarza się nieskończenie rzadko, choćby to było zjawisko jak najbardziej pomyślne. Ile każdy z nas znał tego rodzaju całkowicie wiernych małżeństw? Ja spotkałam ich w ciągu całego życia może 2—3, a i to, co to można powiedzieć... Uznając i podziwiając tego rodzaju typ małżeństwa, zastanawiamy się nad tym, co jest normą, nie wyjątkiem.

Tak tedy rzecz nie uznana jeszcze w teorii, ale nie wątpliwa w praktyce: mit o konieczności monogamii absolutnej przestał istnieć i oto mamy już dwa, wraz z niezależnością ekonomiczną kobiety, elementy kryzysu małżeństwa”.

I jeszcze takie zdanie:

„Już zresztą w najpiękniejszym poemacie miłości „Tristanie i Izolda” występuje klasyczna „zdrada” małżeńska. Okropne słowo — kiedyś oznaczało istotnie zdradę pana i małżonka, sprzeniewierzenia się nakazom władcy; z biegiem czasu istotna treść zwiertzała, wstrętne i zupełnie niewłaściwe słowo pozostało”.

Oczywiście, Paweł Chojnowski ze sztuki Warmińskiego także uważał to słowo za zupełnie niewłaściwe, szczególnie wówczas, gdy sprawa ta dotyczyła go bezpośrednio. Chojnowski uważał również, że monogamicznych małżeństw jest nieskończenie mało. Ale autor sztuki wiedział, dlaczego tak a nie inaczej konstruuje losy bohaterów, do jakich wniosków ma doprowadzić wi-
dza jego utworu.

„Jak czytelnik zapewne zauważył — pisze Irena Krzywicka — nie daję w tym artykule nikomu rad, nie biadam, nie pouczam, nie mówię, co jest dobre, lepsze i najlepsze, bo pragnę tylko rozejrzeć się w sytuacji”.

Janusz Warmiński nie mógł tylko „rozejrzeć się w sytuacji”, na-



„Melodramat” — Scena zbiorowa z I aktu

Redaguje Zespół.
Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartałna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokołowska 43, tel. 8-50-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wkłesłodrukowe RSW „Prasa” w Warszawie Marszałkowska 3/5.
Nr zam. 148
B-7-21969

Czy istotnie razem?

TAK się złożyło, że w dniu ogłoszenia wspólnej deklaracji Eden — Eisenhower przeczytałem w londyńskim tygodniku „New Statesman and Nation” wysokiej klasy pamflet na zachodnią demokrację. Wysokiej, gdyż autor, nie siłując się na ironiczny czy grzeczny komentarz — pozwolił, aby mówić za niego teksty i słęgi, wypokane w codziennym życiu Anglii. Tytuł: „Przemiany przez nomenklaturę”. Sens: po cóż i ewolu, a spoczyna? Zmieniamy etykietę — i już mamy demokrację, łączyłaby: bardzo zabawne. I tak, nie używa się już oficjalnie nazwy „slums” na określenie nor, w których vegetuje londyńska klasa, a tylko „mieszkania typu C 3”; radykalna zmiana w sytuacji mieszkaniowej, prawda? Linie żeglowne, reklamujące kabiny i urzędzenia I klasy, nie piszą już o „ekskluzywnym towarzystwie”, tylko o „miłych współpasażerach”; przeciw mamy demokrację, a tamci z „tourist class” i tak im przyjdą — ceny biletów nie zmienią się wraz z nomenklaturą. Demokracja dba nawet o to, aby szary pasażerowie komunikacji miejskiej nie mieli ponurych skojarzeń. Ostatnio nazwę przystanku końcowego jednej z linii autobusowych zmieniono z „cementarza” na „wzgórze”.

Ten właśnie przykład przyszedł mi na myśl, gdy czytałem wspólną deklarację dwóch mężów stanu, określającą ideologiczne — można by rzec — stanowisko Zachodu w polityce międzynarodowej. „Będziemy nieustannie dążyć do ustanowienia sprawiedliwego i trwałego pokoju oraz do powszechnego rozbrojenia” oświadczyli dwaj panowie E, zmieniając nazwę stacji docelowej. „Nie damy się odwieść od polityki i celów, któreśmy tutaj wyłożyli, a przeciwnie, będziemy przy nich trwać, a w razie potrzeby wzmacniać je i rozszerzać” — dodali zaraz, przypominając, że trasa pozostała bez zmian.

Wiele jest w deklaracji przykładów na owe „przemiany przez nomenklaturę”. Wezmijmy choćby jeden — „W ciągu minionych 10 lat 600 milionów mężczyzn i kobiet uzyskało samodzielną narodową byt przy naszej pomocy i poparciu”. Czy mowa tu o Chinach Ludowych? Czy może raczej z właściwą im subtelnością wskazywali, jak amerykańskie i angielskie karabiny, zdobywane przez powstańców wietnamskich, malajskich pomagają w walce o niepodległość?

Powiecie, że stronniczo oceniam deklarację. Przeczytajcie więc ocenę prawniczej „Le Monde” — „Na początku i na końcu dokumentu znajdują się odwołania do Boga, którego — jak się zdaje — dyrektoriat anglo-amerykański pragnie wyłącznie dla siebie zagarnąć... Z deklaracji rochodzą się woń wojny psychologicznej. Czy będzie ona wystarczająca, aby zrównoważyć wśród mas azjatyckich, a nawet europejskich, wpływ oświadczeń radzieckich? Nie trzeba być krańcowym optymistą, aby mieć co do tego poważne wątpliwości”.

Polemika z deklaracją ideową „wolnego świata” nie jest jednak zadaniem tego artykułu. Wiemy, że konferencja waszyngtońska spowodowana była koniecznością zalagodzenia rozbieżności anglo-amerykańskich. Spróbujmy więc odpowiedzieć na dwa pytania — na czym te rozbieżności polegają i w jakim stopniu zlikwidowano je w trzydniowych obradach?

Spójrzmy na to od strony Anglii. Anglia bowiem była tu „petentem”, stroną, która ma trudności i która chciała szukać ich rozwiązania w poparciu potężnego partnera z drugiej strony oceanu. A jeśli Anglia — to oczywiście Bliski Wschód, najbardziej niewralgiczny punkt Londynu, jeśli można tak powieścić gardząc geografą.

Jakieś sześć tygodni temu amerykański „Newsweek” ogłosił wywiad z „wybitnym przedstawicielem Foreign Office”, który stwierdził, że nasze podstawowe interesy przesunęły się z Suez, Egiptu i Morza Śródziemnego do Zatoki Perskiej; innymi słowy, że strategicznych kryteriów, mających na celu zabezpieczenie drogi do Indii, do względów finansowych — utrzymanie strefy szterlingowej”. Prawdziwszym byłoby tu użycie strony biernej — „presunięto” — bo sen o imperium Bliskiego Wschodu rozwił się, raczej wbrew woli Foreign Office. W każdym razie faktem jest, że Anglia — wyrugowana przez ruchy narodowe — wyzwolenie, a częściowo także przez polityczne wpływy USA, z Egiptu i Sudanu z jednej strony, a krajów Lewantu z drugiej — ograniczyła się do walki o utrzymanie naftodajnych terenów Zatoki Perskiej; o tych małych księstwach Pirackiego Wybrzeża, gdzie pod jałowym płaskim dębem miliony funtów: 1/3 zapotrzebowania Europy Zachodniej na ropę naftową!

Wnioskowe polityczne wypływające z tej orientacji dają się streścić w trzech punktach. Pierwo — utrzymanie naftowego stanu posiadania. Szczerdo — zabezpieczenie wojskowe i polityczne tych terenów za pomocą pancernych „północnego węża” czyli paktu bagdadzkiego. Tertio — zapewnienie wpływów zachodnich na kraje arabskie, leżące w pobliżu Zatoki. One też stanowiły kościółce propozycji — czy raczej petycji — z którymi Eden

wybierał się za morze. Każdy bowiem z tych punktów jest zarazem momentem dyfencyjnym w stosunkach angloamerykańskich.

Przy pierwszym mamy trwający od lat kilku i coraz ostrzejszy spór między Anglią a Arabią Saudyjską o oazę Buraimi, bogate źródło naftowe na pograniczu Arabii i lennych terytoriów brytyjskich. Brytyjczycy zajęli oazę zbrojnie, wypędzając żołnierzy Ibn Sauda. Ale chociaż nocy krąży między Dżeddą a Londynem, wyrok należy do Waszyngtonu — przeciw istotnym władcom terenów naftowych Arabii jest ARAMCO, niegdys „California Oil Corp.” Eden chciał uzyskać wyrok przychylny. Zamiast tego cfiarowano mu mgliste sformułowanie — „Jesteśmy zdania, że spory te mogą być rozwiązane w drodze przyjaznych dyskusji”. Kpinia aż nazbyt wyraźna.

Brytyjski premier pragnął także przez przedstawienie USA wzmocnić zachwiany pakt bagdadzki i zwiększyć jego atrakcyjność dla krnąbrnych sąsiadów w rodzaju Jordani. Ameryka nie ma jednak zamiaru zaprzeczania resztek nadziei na „odzyskanie” Egiptu i zrażać do siebie starego Ibn Sauda. Złożywszy więc wyrazy szacunku dla idei paktu, pozostała w pozycji formalnie biernego obserwatora.

Wreszcie rząd brytyjski uważał, że najlepszym sposobem zapewnienia wpływów zachodnich na Bliskim Wschodzie jest nowy „plan Marshalla”, program szerokiej po-

mocy ekonomicznej, która na pozór przynajmniej nie łączyłaby się z zależnością wojskową. Trafiał jednak na partnerów, których koncepcje polityczne dalekie są od elastyczności. Dawno, dawno temu sformułowano wtyczną „pomoc za bazy” w IV punkcie Trumaniana. I choćby całe osiem lat wykazywała jej bezsens i nieuzyskiwanie — metody się nie zmieni. Sir Anthony zadawał sobie chyba ponure pytanie — gdzie kończy się wytrwałość a zaczyna głupota? Rzecz prosta, nie mówił tego głośno; wolał zrezygnować ze swego planu.

Przynajmniej zresztą trzeba, że niespodzianie uderzyła go pod bok Francja, która ni stąd ni zowąd zgłosiła deklarację o swej polityce bliskowschodniej, deklarację prawie zbliżoną z kierunkiem polityki USA.

Tak więc w Waszyngtonie nie postanowiono niczego po myśli brytyjskiego premiera. Co natomiast zdecydowano? „Przedyskutowanie odpowiedniego działania w świetle deklaracji z 25 maja 1950 r.” Tłumacząc na ludzki język, dwie Niemiec dla Anglii rzeczy: włączenie Francji do wszelkiej akcji w tym regionie i podjęcie interwencji zbrojnej w razie dalszego zaostrzenia się konfliktu arabsko-izraelskiego. To ostatnie, praktycznie biorąc, rekoma brytyjskich żołnierzy — przeciwie do Anglii ma bazy na Cyprze, dowodzi Legionem Arabskim w Jordanii i ma rozbudowaną wojskową sieć wywiadowczą. Francja nie może sobie dać rady nawet z

własnymi terytoriami. Eisenhower zaś na pewno nie pośle swoich żołnierzy na drugą Koreę w roku wyborów.

Nie tylko jednak dokumenty Middle Eastu włożył sir Anthony do portfela, opuszczając Downing Street. Przedstawiciel City wnieśli mu pokazywać pakiet ekonomicznych analiz, wskazujący, że dla utrzymania strefy szterlingowej ważna jest nie tylko ropa Bliskiego Wschodu, ale handel z krajem leżącym o kilka tysięcy mil na wschód — z Chinami Ludowymi. Anglia jest dziś skrapowana gorstem (zw. embargo handlowego, tj. długiej listy zakazanych w eksporcie towarów) o charakterze bezwzględnie lub względnie strategicznym. Wiemy, jak szeroka jest ta druga kategoria; należą do niej nawet pończochy nylonowe. Nie też dziwne, że w handlu z Chinami wyprzedzili Anglię takie kraje, jak Niemcy Zachodnie, prowadzące wymianę kanałami prywatnymi; że do rywalizacji szykuje się Japonia. Nie także dziwne, że sir Anthony zabiegał o zniesienie embargo. A uzyskał? Zapewnienie, że „jesteśmy zgodni co do utrzymania kontroli w handlu na Dalekim Wschodzie”. Gryząca ironia.

W tej sytuacji trudno nie zgodzić się z podsumowaniem „ondyńskiej „News Chronicle” — „Spoza zasłon komunalnych niesposób jest zobaczyć choćby jedno pozytywne posunięcie w którejkolwiek z dysku-

wanych dziedzin. W odniesieniu do niektórych problemów, takich jak handel z Chinami, Formozą i oazą Buraimi widoczny jest zupełny impas”. To prawda. Kola rządowe W. Brytanii liczyły na wizytę w Waszyngtonie, jak człowiek ciężko chorego lekarza. Zamiast tego, komunikat odwleka rozwiązanie, maskując odmowę. Sir Anthony musi dobrze znać ten styl. W przeszłości jego kraju, gdy król miał jeszcze coś do powiedzenia i odmawiał sankcji ustawie parlamentu, używał równie uprzejmego zwrotu — „Le Roi s'aviser”, król namyślił się.

Kładąc akcent na rozbieżności anglo-amerykańskie nie możemy jednak tracić z oczu szerszego aspektu konferencji. Bądź co bądź dwa największe mocarstwa kapitalistyczne zebrały się, aby wylżyć wspólną linię polityki światowej. Postępowa opinia publiczna Zachodu liczyła też, że waszyngtońskie rozmowy doprowadzą czterech mężów stanu do wniosku, iż dotychczasowy kierunek i metody okazały się bezowocne. Spodziewano się, że wysunięte zostaną propozycje zaprzestania prób z bombą wodorową. Ze uzgodniony zostanie szeroki plan prawdziwej pomocy krajom zafanym. Ze sprawy Bliskiego Wschodu omawiane będą w przyszłości przy udziale ZSRR. Ze uzna się status Chin Ludowych jako wielkiego mocarstwa. Ze wreszcie poczyniona zostanie próba wyjścia z impasu w sprawie zjednoczenia Nie-

miec. To wszystko mogła — i powinna — dać konferencja Eden — Eisenhower.

Niestety kantowska przepaść między „sind” i „sollen” jest aż nazbyt głęboka. Zachodnio-niemiecki „Die Welt” pisał z goryczą — „Komunikat nie zawiera niczego lub bardzo mało elementów pozwalających wyciągnąć wniosek, że polityka zachodnia zbliżyła się ze snu zimowego. Wprost przeciwnie. Amerykańska walka wyborcza, niepewność co do decyzji Eisenhowera, słaba pozycja rządu angielskiego, brak orientacji co do tego, od których spraw zacząć — wszystko to prowadzi do wniosku, że w najbliższym czasie nie należy oczekiwać żadnej większej inicjatywy od Zachodu”. A „Neue Rhein Zeitung” dodaje od siebie — „Szalene przyjemnie czyta się zdania dotyczące deklaracji na temat zjednoczenia Niemiec. Ale co należy czynić? Czy wysunięto choćby jeden nowy moment, który mógłby posunąć sprawę naprzód? Nie. Czy przewiduje się może nową konferencję? Nie”.

Owo „nie” jest jakby dominantą rozmów waszyngtońskich. Wiemy, że nie będzie wojny. Ale nie mamy zamiaru wyprowadzać światła z impasu. Nie mamy zamiaru odpowiadać na konstruktywne propozycje Bułgina. Nie pragniemy nawet istotnego likwidowania naszych własnych rozbieżności. Czego więc chcemy? Chyba sami nie bardzo wiemy.

Janusz Stefanowicz



Maurice Utrillo: Ulica Hippolyte-Jamot à Sannois

PUSTE OBSZARY

nie przynależności do kogoś? Ten sam lęk przed samotnością, która jest właśnie „nienależeniem” do nikogo? Która tworzy „ludzi bezpańskich”?

W chłodnym, analitycznym świecie współczesnej powieści francuskiej te dwa głosy pisarzy o różnych poglądach na świat brzmiały niezwykle donośnie. Ale to tylko jedna strona zagadnienia. Sędzia Lamy zna smak samotności, który trwa jego wykołejonych podopiecznych. Ale musi sobie również zadać pytanie, kto ponosi odpowiedzialność za ich mniej lub więcej zmarnowaną młodość. „Pan Lamy wskazywał w osobie tego chłopca innych zbrodniarzy, których wcale nie znał: właściciela szynku, w którym upijał się jego dziadek, hurtowego dostawcę z Północnej Afryki, który importował amantów jego matki, generalnego dyrektora, który po przeglądnięciu sprawozdania z wydajności zamknął warsztat jego ojca, ministra, który zniósł ustawę antyalkoholową... Sędzia Lamy sądził ludzi moźnych i udekorowanych”. I tutaj zaczyna się właśnie część najbardziej sporna.

WSPOMINALIŚMY o licznych wiecach łączących „Bezpańskie psy” z wydanym w dwa lata później zbiorem felietonów „Ce siècle appelle au secours”. Niektóre myśli zaznaczone w powieści można odnaleźć w artykule lub na odwrocie — wcześniej powstały felieton służył powieściopisarzowi jako pretekst do nowych rozważań. Motywem, który często powtarza się i tu i tam, jest obraz społeczeństwa podzielonego na dwie przeciwne strony. Sędzia Lamy mówi o prawnikach: „Od wprowadzenia ich na urząd zaczynała się kariera, to był ślip graniczny. Byli więc urzędnicy — a wszyscy inni zostawali z drugiej strony, po złej stronie kontuaru. To samo odnosi się i do profesorów i do szynkarzy, do bankierów, urzędników, kupców, wszędzie jest dobra i zła strona kontuaru! Co za smutne społeczeństwo, panie Doublet!” W felietonie „Rzyzko rzemiosła” Cesbron powraca do tej wizji społeczeństwa podzielonego na spychających i na zepchniętych, na urzędzonych i na stralowanych, idzie jeszcze dalej: „wszyscy jesteśmy mordercami — pisze — najwyżej działamy za pośrednictwem osób trzecich”. W artykule poświęconym pamięci Rosenberga cały świat obarcza odpowiedzialnością za śmierć amerykańskich małżonków. „Wszyscy jesteśmy winni” — ten zwrot powtarza się często jak refren, jak bezsilne stwierdzenie absolutnej beznadziei. Bo czyż można walczyć przeciw wszystkim?

Nie można odmówić racji Wurmserowi, gdy atakuje Cesbrona za tę postawę. Istotnie, jest w niej coś bardzo niewspółczesnego, mogłaby skrytykować się również dobrze w epoce Dickensa. Twierdzenie o jakiejś powszechnej wspólnotnie, przełożone na język praktyczny nie znaczy właściwie nic, nikomu służyć nie może. „Co to znaczy — zapytuje francuski publicysta — że wszyscy są odpowiedzialni za śmierć Rosenberga, czy to nie równa się pomniejszeniu winy właściwych jej sprawców do zera? Przeciwno komu mamy wierać występować?”

Sledząc dzieje pisarstwa Cesbrona można równocześnie zaobserwować rozwój nurtujących jej sprzeczności. Pisarz, który powiedział „a”, zawahał się czy dopowiedzieć „b”, aby wyciągnąć wnioski z zajętej uprzednio przez siebie postawy. Wydając „Świętych schodzących do piekieł”, Cesbron uczynił krok bardzo śmiały, wystąpił zdecydowanie przeciwko całej katolickiej reakcyjnej praktyce. Stając się jednym z najbardziej żarliwych obrońców księży-robotników równocześnie przeciwsta-

wił się katolikom z mieszczańskiej elity, którzy wcale sobie takiego „zejścia do piekieł” nie życzyli. Zarzut poddania się wpływom komunizmu spadł na niego wówczas w tej samej mierze, jak i na bohatera jego powieści, O. Piotra. Arcybiskup Paryża mówi do misjonarza z Sagny:

„— Czy ksiądz wie, że nazywają go komunistą?”

— Ale Eksceleńcja w to nie wierzy?

— Nie, natomiast myślę, że ksiądz był bardzo nieroztropny.

— Lecz Eksceleńcio, gdy się jest głodnym sprawiedliwości, nie można mieć w Sagny innej postawy, jak nasza. Gdybyśmy nie stwardniali i nie walczyli ramieniem z innymi — jakich byłbyś my wpływ?”

Tak, w powieści Cesbrona O. Piotr bierze udział w strajkach, manifestacjach, w tych formach walki, jakie robotnikom dyktuje rzeczywistość społeczna. Na tym odcinku styka się z ludźmi przeciwnego obozu ideowego. Autor nie szczędił przed ich adresem cierpiących słów, pozwala sobie na nie w tak wielkim stopniu właśnie dlatego, że przeciw najogólniej akceptuje ich taktykę. Bo przecież w ostateczności zarówno O. Piotr, jak i pierwszy lepszy działacz komórk partyjnej paryskiego banlieu potrafił wskazać wspólność swoich przeciwników, wspólne źródło zła. Ale już gdzieś, w „Bezpańskich psach” pisarz odchodzi od trzeźwego widzenia rzeczywistości. Już tutaj, k: ntury owego zła społecznego zaczynają się rozpylać, postawa pisarza, gdzieś na najdalejzych krańcach poczyna zbliżać się do jakiejś wielkiej katolickiej filantropii, postawę już współcześnie zbankrutowała. Sytuacja ta pogłębia się w „Ce siècle appelle au secours”. Przecież ta namiętna, gorąca, ironiczna publicystyka skierowana przeciw „comisom, przeciw bestialstwu policji, przeciw cynicznej postawie wobec morderstwa Rosenberga zawieszona jest w jakimś wielkim vacuo m. Gdy tylko dochodzi do wniosków, wówczas Cesbron powtarza: to nasza wspólna wina.

A przecież mimo tych sprzeczności — Cesbron odpowiedział w „Bezpańskich psach”, jakie jest miejsce i rola katolika we współczesnym świecie. Dał nawet dowód zupełnie przekonujący. W niektórych partiach ta książka o młodziuzy zdumiewa siłą swego uogólnienia. Tak samo jak o Alan Roberta i jego rówieśników pozabawionych domów i ciepła nie można podejść jedynie „na zasadzie”, „z pozycji”, „wychodząc z założenia”, lecz po prostu tylko i jedynie dając im całą „nadwartość” miłosierdzia i dobroci nie liczącej się z receptami urzędowej sprawiedliwości — podobnie tego samego rodzaju pomocy oczekuje nasz wiek współczesny. Nie jakiś nieokreślony, zamglony, abstrakcyjny, ale właśnie nasz wiek, rozdarty przemianą stosunków społecznych. Niemniej — powtarzam, są „obszary człowieka”, na które nie mają dostępu pojęcia „walka” i „nienawiść”. Nie zawsze i nie wszystkich ludzi nakarmi można wizją szczęśliwej przyszłości, podróżami międzyplanetarnymi, dynamizmem przemian ekonomicznych. Wtedy zaczyna się rola takich ludzi, jak O. Piotr i sędzia Lamy, którzy działają bez „założenia” i „schematów”. „Miejsce przynależne jest bardzo wygodne — rzekł Biały Kieł spokojnie — móc mieć zawsze i wszędzie kilku chrześcijan do zatykania dziur! Żeby dawali więcej niż otrzymują i myśleli o innych więcej niż o sobie samych...”

Konrad Eberhardt

NIE BYŁO NAS BYŁ JAZZ



Ethel Ayler (Bess)

NAJŚMIESZNIJSZA — i najbardziej zadziwiająca — cechą toczących się obecnie w prasie dyskusji jest uzasadnianie potrzeby nowoczesności. Odkrycie nowoczesności — to coś piramidального. To sytuacja człowieka, który od dłuższego czasu mieszka w swoim pokoju i kiedyś rano po przebudzeniu z osłupieniem przygląda się tapetce na ścianie. Odkrywa tapetę. Jak to, więc nigdy jej nie dostrzegłem? nigdy nie widziałem, że jest różowa, że są na niej dziwne kwiaty? Nie dostrzegę się rzeczy najbardziej oczywistych.

Jedną z tych spraw oczywistych, nierozdzielnie związanych z współczesnością jest sprawa jazzu. Nie uważam, że to, co się obecnie pisze o jazzie, można nazwać propagandową kampanią. Jazz nawet nie potrzebuje takiej reklamy. Zanudzeni od kilku lat ludzie przyjmują go jak wywabienie. Wywabienie od nudy, od starzyny, od wątpliwych dobrodziejstw c.k. walców i genialnej rodzimej twórczości ostatnich lat. Nie wiem, czy — zawdzięczając tandentemu wykonawstwu — długo przetrwają elewacja MDM-emu, ta architektura dla gołębi, ale jestem przekonany, że piosenki o tych elewacjach będą miały niewspółmiernie krótszy żywot.

Zupełnie nawalili próby „unowocześnienia” naszych tańców ludowych — zastąpienia nimi współczesnej muzyki. Wystarczyło patrzeć na tych bezbrzeżnie przynębionych, ludzi, którzy w

przerwie między uwerturą do „Barona Cygańskiego” a „Lekką Kawalerią” — tą ciężką artylerią rozrywkowej muzyki — tańczyli skocznie potocznie. Niestety to jeszcze nie jest przeszłość; w większości polskich lokalów muzyki różną w dalszym ciągu swoich baronów; najlepiej by było rozprawić się z nimi sposobem, który Boy zalecał na komentarzach Mickiewicza. Co więcej, w prasie pojawiają się głosy, które w obronie ludowości, polskości, tradycji, próbują przeciwstawić się zalewowi jazzu.* Przed potopem jazzowym trudno się nieestety ustrzec. Na zasadzie tego pana w Krakowie, który chciał podstawić nogę tramwajowi — tramwaj uciął mu stopę. Właściwie miałem pisać o wrażeniach z „Porgy and Bess”. Ta opera Gershwina z tzw. czystym jazzem nie ma dużo wspólnego, tak jak zresztą jazzowa muzyka taneczna. Jest jednak okazją do pisania o jazzie w ogóle.

Jaka jest pozycja jazzu w współczesnej muzyce? Jazz stoi na pograniczu muzyki poważnej i rozrywkowej. Zapewnia lukę między nowoczesną muzyką symfoniczną, która jest często trudno dostępną — a muzyką taneczną, absolutnie pretensjonalną i jałową. Jest gatunkiem współczesnej sztuki, który potrafi przeniknąć szerokie rzesze od-

* Ostatnio ukazał się krzepiący artykuł St. Edwardsa Burego („Słowo Powszechne”, nr 18 (2925). Autor odważnie przeciwstawia się jazzowemu tendencjom obecnego etapu i gotów jest dać się zlincozować w obronie swolch przekonania.

biorców wnosząc jednocześnie elementy odkrywcze, nowe i bliskie nierzadko tendencjom twórczości o wyższych aspiracjach. Ma dwie wielkie zalety: jest powszechny, ale równocześnie nie jest bezmyślny.

Rozwój jazzu od sztuki czysto użytkowej, tanecznej, do formy obecnej, artystycznej — z pewnością nie ostatecznej, bo jazz ma w dalszym ciągu ogromną przyszłość — jest pewnego rodzaju uszlachetnieniem, awansem artystycznym. Jako sztuka użytkowa był formą szeroko komunikatywną. Tę komunikatywność zachował na estradzie. Wprawdzie zwolenników ostatniego, najtrudniejszego stadium — be-bopu jest o wiele mniej niż wielbicieli starego dixie — ale i oni zwykle, rekrutują się spośród ludzi, dla których nowoczesna muzyka „poważna” była obca, którzy przez be-bop zblżyli się do współczesnych kompozycji i ogromnie podnieśli swoją muzykalność. Be-bop to już po granicze muzyki przez duże M.

Nie można w ogóle zestawiać nazwisk Parkera czy Armstronga z Schoenbergiem czy Strawińskim, ale ładunek muzyki, który zawarty jest we wczesnych nagraniach nowo-orleańskich, czy w chicagowskich płytach Armstronga jest nie tak wiele mniejszy od tego, który reprezentuje twórczość niektórych pre-klasyków europejskiej muzyki. Wspólną cechą jest tu linearność, polifoniczność kompozycji. Można by nawet wykonywać pewną analogię pomiędzy rozwojem i stylizacją XVII-wiecznej suity a przekształceniami muzyki jazzowej. Czteroczęściowa suita, tzw. suita francuska, składała się z tanców, których charakter był początkowo na wskroś użytkowy. Przeobrażenie suity w kierunku muzyki „do słuchania”, które miało doprowadzić w przyszłości do formy symfonii — było równym awansem, jak awans jazzu. Naturalnie jest to analogia powierzchowna i nieco naciągana. Okrzyczany kosmopolityzm jazzu, hegemonia tej muzyki murzyńskiej na całym świecie jest jednak równie wielka, jak hegemonia francuskich tańców, francuskiej suity, która kiedyś zagarnęła całą Europę.

Czy jazz wpłynął na rozwój symfonicznej muzyki? Trzeba przyznać, że najistotniejsze przeobrażenia zaszły bez udziału jazzu. „Święty wosny” Strawińskiego — punkt przełomowy współczesnej historii (1913), powstało w okresie, kiedy nikt we Francji (i nie tylko we Francji) o muzyce jazzowej nie słyszał. „Święty wosny” jest gloryfikacją prymitywu i może stanowi przeziucie

gatunku muzyki, który w przyszłości ogarnie całość, współczesność. Albo może inaczej — stanowi wykładnik tęsknot współczesnego człowieka w kierunku prymitywu i świeżości, tęsknot, które miały się wyładować w entuzjzmie do jazzu. „Święty wosny” po skandalicznej paryskiej pra-premierze było początkowo utworem wybitnie elitarnym. — Jazz był w pewnym stopniu „Świętem wosny” dla ubogich.

Późniejsze lata wykazują jednak stale wzrastający wpływ jazzu na muzykę symfoniczną. Począwszy od Strawińskiego, który zetknął się z jazzem w r. 1918 dzięki Ansermetowi, wracającemu właśnie z występów w Ameryce — kompozytorzy europejscy chętnie podchwytyli świeże i oryginalne elementy tej muzyki (wojska amerykańskie zawlekły ją do Paryża). „Historia żołnierza” i „Ragtime” Strawińskiego są utworami, w których nawet zestaw instrumentów wzorowany jest na zespołach nowo-orleańskich. Twórcy młodszy — Grupa Szesciu, a przede wszystkim Milhaud entuzjastycznie się jazzem (balet „Stworzenie świa-

Świętym argumentem w dyskusji o jazzie jest wystawiana w Warszawie opera „Porgy and Bess” (powstała w 1935 r.) mimo że oryginalny jazz zawarty jest jedynie w nielicznych jej fragmentach. Te fragmenty to wspaniały wykład, to olśniewająca lekka, która pokazuje istotę i genese jazzowej muzyki. Autor tej opery — Gershwin, nie jest bynajmniej — jak się to u nas słyszy — najwybitniejszym współczesnym amerykańskim kompozytorem. Tacy twórcy jak Ives, Holst czy Copland — przewyższają go pod każdym względem. Gershwin jest jednak bezspornie kompozytorem najpopularniejszym; posiada wdzięk — i łatwość — które zadecydowały o jego powodzeniu.

Tragedią Gershwina był brak studiów. Pozostał nawiązać prymitywem, nawiązać samoukiem, który zawił gdzieś w połowie drogi między twórczością instynktowną i naiwną a tzw. muzyką poważną. Marzył o skończeniu paryskiego konserwatorium, chociaż złożyli mu ludzie jak Ravel bardzo go od tego pomysłu odstawiali. Ravel sądził, że dra-

głosy wykonawców nie zawsze są świetne. Nie dość że tańczą ludzie — tańczą przedmioty. Wszystko jest przeniknięte ruchem. „Porgy and Bess” to apoteoza tańca.

Murzyni ruszają się i tańczą zupełnie genialnie, o tym wszyscy wiemy. Tańczą tak, jak ptaki śpiewają. Jest jakaś nieludzka prostota gracji w każdym ich najmniejszym poruszeniu — naturalny wdzięk zupełnie niepowtarzalny. Odnosi się to nie tylko do cudownych kupletów Sportin Life’a w drugiej akcie opery czy w ogóle do pierwszej sceny drugiego aktu — zabawy murzyńskiej, która jest chyba najbardziej frajdującym i fantastycznym fragmentem opery — jest to zresztą jeden z niewielu fragmentów oryginalnego jazzu. W każdej scenie jest choćby fragment — a zwykle nie tylko fragment — kiedy widz z rozdziawioną gębą patrzy na te rytmiczne cuda, które się przed nim dzieją (np. tańiec z sianem). W momentach fortissima cała scena dosłownie się trzęsie. Ruchliwy, psotkawy, taneczny hum śmiejący i wrzeszczący po środku



„Porgy and Bess” — Akt I

ta”). Nawet tacy kompozytorzy jak Ravel, Debussy, Bartok a zwłaszcza Hindemith ujawniają w swoich utworach silne wpływy jazzu (choćby popularna Cake-walk — Debussy’ego). Jedynie największy reformator XX-wiecznej muzyki — Arnold Schoenberg pozostał nietknięty jazzową chorobą. Ale Schoenberg odkrywał w swoim laboratorium prawdy głębsze od jazzu.

W sumie jazz nie jest bynajmniej jakąś błahostką, przejściowym szaleństwem, przelotną kosmopolityczną modą tak, jak grzywka, kok czy klipsy w modzie kobiecej. Jazz jest poważnym, konkretnym zjawiskiem społecznym i ważnym zjawiskiem na osobiste zapamiętywanie trzeba się liczyć. Odgrywanie się od niego będzie równoznaczne z ignoracją — będzie chowaniem głowy w piasek, uciekaniem do zacisznej, swojskiej stajenki. Okrzyki zgorszonych tradycjonalistów połączone z głośnym przytupywaniem i sokolskim zawolaniem „hej tam, na Boga, rodacy, alboż nie mamy własnej kultury!” — są nieuniknione.

Jazz jest nie tylko muzyką — jest instytucją, zrzeszeniem wyznawców. Stał się już pewną formą współczesnego życia, nawet pewnym odrębnym gatunkiem sztuki, typowym dla naszego wieku — jakąś małą-ką XI-tą muzą. Co więcej, stał się potrzebą, gorącą potrzebą tak widoczną u młodzieży. Robienie z jazzu zakazanego owocu doprowadziłoby do okropnego rozwydrzenia. I tak przeciw obecne dorwanie się do tej muzyki ma pewne cechy niezdrowe, pewną gorączkowość, która jest jednak wynikiem uprzedniej niedostępności. Zróbmy z jazzu rzecz powszednią — zniknie zbyt chorobliwie podekscytowanie.

Nie wiem, czy słuchając jazzu młodzież się ładuje czy rozładowuje. Wiem, że jazz jest wyrazem pewnych tęsknot bezspornie artystycznych (choć nie tylko artystycznych — dużo jest w tym biologii). Jest chęcią intensywnego zaspokojenia muzykalności w jej bardzo dośadnej formie — w rytmicznym destylacie muzyki, jakim jest czysty jazz. Przeciwnie, które daje muzyka symfoniczna, przeżyca dojrzałe i wyrafinowane — pozostają niedostępnymi dla ogromnej większości ludzi. Jazz daje im przeżyca bardziej prymitywne, ale także dostępne. Jest naturalnym produktem epoki w której rozdźwięk między twórcą a odbiorcą osiąga punkt szczytowy — jazz jest bocznicą, dającą gwarancję wrażeń muzycznych zarówno współczesnych, jak i zromatycznych. Jest jakby użytkową formą nowoczesnej sztuki.

mat Gershwina dopiero wtedy by się zaczął. Ten brak muzycznego wykształcenia przy wielkim talencie oraz początkowa praca jako autora songów, sprawiają, że Gershwin często jest nierówny, tani, a nawet szmirnowaty.

Gershwin bynajmniej nie przetworzył jazzu na język muzyki symfonicznej. Raczej dość powierzchownie przetransportował to, co było w jazzie najbardziej charakterystycznego. Jego współziomek Copland zafascynowany w równym stopniu murzyńską muzyką był pod tym względem o wiele bardziej odkrywczy. Wartość Gershwina tkwi jednak w tym, że nauczył patrzeć na jazz poważnie, że go spopularyzował w sal koncertowej, że dzięki niemu jazz przestał być wyłącznie zabawą.

Wszystkie dobre i złe cechy utworów Gershwina zawiera „Porgy and Bess”, ukończona na rok przed śmiercią. (Gershwin zmarł na raka mózgu w 38 roku życia). Mimo ckiego i dość szmirnowatego libretta jest w tej operze specyficzny gershwinowski urok, jest naiwność i wdzięk tak typowy dla amerykańskich Murzynów, jest duży ciepła, która sprawa, że na wiele elementów tej opery musimy patrzeć innymi — od naszych — kategoriami: kategoriami przystosowanymi do amerykańskiego folkloru w ogóle, a do folkloru murzyńskiego w szczególności. Bo ten zeuropeizowany gershwinowski jazz — trochę sentymentalny i trochę salonowy, trochę rozwrzeszczany i trochę dziecinny — a mimo wszystko uroczy — ma bardzo dużo wspólnego z całą współczesną amerykańską kulturą.

Trzeba z góry powiedzieć, że występowanie muzyki „Porgy and Bess” z płyt, nie daje absolutnie pojęcia o operze, ba — nawet wypacza to pojęcie. Muzyka jest czasami śmieśniewata a nawet denerwująca, libretto czasami głupekimi, czasami drażniące. To wszystko nabiera sensu i życia dopiero wtedy, gdy widzi się i słyszy na scenie wykonawców Murzynów.

„Porgy and Bess” na scenie nie jest operą — jest zjawiskiem. Zjawiskiem rytmicznym. To, co się dzieje na scenie, trudno opisać. „Sfilmować, spatefonować, przechować”, — jak pisał kiedyś Boy. Jest coś, co, sprawa, że opera Gershwina chwilami zupełnie fascynuje: — to intensywność, olbrzymia, osłupiająca żywiołowość murzyńskiego zespołu. Scena przez cały czas żyje. Porusza się gorączkowym rytmicznym ruchem. Nie jest ważne, że Murzyni śpiewają — oni tańczą — nie stoją chwilami w miejscu — czasami zapominają się zupełnie o muzyce (zresztą

— tłum w oknach i na balkonach domków dekoracji (dość zresztą konwencjonalnie realistycznych) — najmniej ruchliwy, tylko krzyczy wali czym się da w co się da — grzmoci okiennicami o ścianę, kijami o balustradę, nawet rozbija ścianę tarką od prania która co pewien czas wychyla się z okna. To jest wrażenie niepowtarzalne.

Niestety nie wszystkie fragmenty opery są takie. Nazwałem „Porgy and Bess” zjawiskiem — ale to zjawisko jest dziełem wykonawców. W gruncie rzeczy nie jest to opera (a już w każdym razie — nie dramat), ale mieszanina operetki, wodewilu i dość sentymentalnej naturalistycznej opery chwilami nawet z dziwnie włoskimi reminiscencjami. Sytuację ratuje folklor; on przewija się nawet w najbardziej ugrzęzionych momentach. Gdyby nie to — „Porgy and Bess” można by z pewną przesadą nazwać „Cygankami”, z tym, że Rudolf jest czarzyni, jeździ z kozą na wózku i nie pisze wierszy, bo musi zarabiać na życie w konkretny sposób — żebractwem, a Mimi bynajmniej nie jest hafciarką, tylko kimś zgoła innym, no i jest diabelnie przystojna. Jest w „Porgy and Bess” trochę starych włoskich rupiec; chociażby duet miłosny w I akcie — Puccini w Charlestonie.

Pisałem, że Gershwin jest kompozytorem stosunkowo grzecznym i łatwym, ale po operze słyszałem (nieliczne) głosy, że jego muzyka jest trudna a nawet niezrozumiała. Na to można tylko rozłożyć bardzo szeroko ręce. „Porgy and Bess” wyrwa się z repertuaru operowego etapu, na którym obecnie jesteśmy. Jeśli długo oczekiwana rewelacją staje się brodaty „Lohengrin” — trudno się dziwić, że Gershwin staje się zaskakująco nowoczesny. Biedny, niewinny Gershwin wydaje się rewolucjonistą. Co by publiczność powiedziała na niektóre opery Hindemitha, Berga, czy chociażby Prokofiewa? Kiedy za współczesną operę uważa się rodzimy „Bunt żaków”, to przy takiej operze nawet Puccini jest modernista.

Pewne sceny w „Porgy and Bess” — tak jak scena zabawy murzyńskiej oszawają widownię z prawdziwym jazem i to jest argument jazzowej dyskusji. Okazuje się że jazz jest głęboko współczesną potrzebą, jest wyładowaniem emocji bliższej dzisiejszemu człowiekowi, jedną z form wyrazu tych emocji. Dlatego nie warto tak się zarękać. Spytajcie zachwyconych ludzi po wyjściu z opery, czy im się podobała. A poza tym nie wiadomo, co jeszcze z tego jazzu wyrosnie.

Moment demagogique

POLSZCZYŹNA — to bardzo piękna mowa. Dlatego na przykład napisałem tytuł tego felietonu sprytnie bo sprytnie, ale po francusku.

Stolica — to przedmiot naszych trosk i chuchań (przy obecnej modzie na innowacje stylistyczne w publicystyce pozwalam sobie zaproponować ten podmiotowy termin) — więc dlatego mamy w niej obok Łazienek dom „pod sedesami”.

Konsekwencja — to godna pochwały cecha charakteru nie tylko człowieka, ale zespołu ludzi, którymi czasami są i Kolegia Redakcyjna... Dlatego „Przegląd Kulturalny”... Ale po kolei, po kolei — bo inaczej będzie kiepsko z kompozycją.

W swoim czasie Ludwik Flaszewicz męczony torsjami, zwrócił swe literackie śniadanko na łamy „Życia Literackiego”. Skoro tylko to zrobił, pobiegł do mamy i naskarżył na Wazyka — bo wiadomo. A ciotka z „Przeglądu Kulturalnego” zresztą bardzo słusznie obrzuciła się i petitem, w kąciuku, wymierzyla Flaszewiczowi klapsa za obrzydliwość. Podkreślam: bardzo słusznie.

I dzisiaj — dlatego, że jest konsekwentna — pozwala na niemniej znaczne obrzydliwości chłopczyków z własnego podwórka. Chłopczyk, jak chłopczyk, w pewnym wieku lubuje się w brzydkich wyrazach i w ostrym stawianiu rzeczy. Ale dla czego akurat u ciotki z „Przeglądu Kulturalnego”?

Mówmy po prostu: chodzi o wypracowanie Jacka Bocheńskiego p.t. „Mezycyna i średniowiecze” z 3(177) numeru „Przeglądu”. Składa się ono zasadniczo z dwóch części: pierwszej ogólnej i drugiej szczegółowej.

W ogólnej — autor, referując pewną dyskusję o małżeństwie, wyraża chyba bolesne dla niego, nicmniej zaciekle potępienie dzisiejszej młodzieży, która jest zakłamaną, niedouczone, prymitywną, pozbawioną dobrych uczuć, barbarzyńska itp. Tak in gremio — i tak po prostu. Gratulujemy.

W szczegółowej części autor rozprawia się z katolicyzmem. Króciutko, łatwiutko, cacanie — że gdyby

nie brzydkie wyrazy, przekonany był, że to nie powoła, ażeby na nich machnąć ręką i wruszyć ramionami, bo nie chcą znać wątpliwych teorii Ireny Krzywickiej. To raczej powinno budzić szacunek dla problemu i poczucie konieczności udzielenia zabłąkanym pomocy. Trzaskanie arżawami z miną obrażonego wieściza nie jest — o ile mnie się wydaje — rzeczą właściwą.

Nie jest rzeczą właściwą ciskanie obelg na katolików za to, że mają o sprawie swoje, własne wypracowane zdanie. Zaanie o wysokiej odpowiedzialności moralnej człowieka za własne przeżyte seksualnych. Zdanie o potrzebie obrony goności ludzkiej przed świnstwem, które jeżeli istnieje, to tym samym nie staje się rzeczą moralnie obojętną. Zdanie nie tak barzo odosobnione. Podobne zdanie na te tematy posiadali np. klasycy marksizmu. Więc dlaczego akurat na katolików ta cała bomba?

Pomieważ jednak ciekawie nas także zmysł pokory, czekadamy, że może... może Bocheński i Krzywicka mają rację. Może rzeczywiście tak potrzeba. Na ten wypadek, po długiej i mozolnej dyskusji wewnętrznej, wysmażyłem, pomimo oporów mej średniowiecznej duszy, następujący projekt. Proponuję, by specjalna komisja, złożona z architektów, publicystów i zainteresowanych, ukonstytuowała kilka nowych instytucji. Jeżeli mamy już być tacy realistyczni, no, to proponuję założenie:

INSTYTUTU PORAD CHULIGANSKICH (jak chuliganić, ale w miarę).

OGRODKÓW DZIAŁKOWYCH DLA PIJAKÓW (pijcie, by... na swoich) tudzież kilku innych imprez reformistycznych. Humanistycznie. Nie średniowiecznie. Realistycznie.

Bo co to jest człowiek? Człowiek to taki żalony stwórek, któremu trzeba udzielać dyspensy. Jednej za drugą. Jednej za drugą.

„Kłękni przed Bocheńskim, a potem bracie, rób to i owo. Legalnie”.

Czy tak?

Stanisław Grochowiak

szumocą się w niewiedzy i beznadziei — to chyba, nie powoła, ażeby na nich machnąć ręką i wruszyć ramionami, bo nie chcą znać wątpliwych teorii Ireny Krzywickiej. To raczej powinno budzić szacunek dla problemu i poczucie konieczności udzielenia zabłąkanym pomocy. Trzaskanie arżawami z miną obrażonego wieściza nie jest — o ile mnie się wydaje — rzeczą właściwą.

Nie jest rzeczą właściwą ciskanie obelg na katolików za to, że mają o sprawie swoje, własne wypracowane zdanie. Zaanie o wysokiej odpowiedzialności moralnej człowieka za własne przeżyte seksualnych. Zdanie o potrzebie obrony goności ludzkiej przed świnstwem, które jeżeli istnieje, to tym samym nie staje się rzeczą moralnie obojętną. Zdanie nie tak barzo odosobnione. Podobne zdanie na te tematy posiadali np. klasycy marksizmu. Więc dlaczego akurat na katolików ta cała bomba?

Pomieważ jednak ciekawie nas także zmysł pokory, czekadamy, że może... może Bocheński i Krzywicka mają rację. Może rzeczywiście tak potrzeba. Na ten wypadek, po długiej i mozolnej dyskusji wewnętrznej, wysmażyłem, pomimo oporów mej średniowiecznej duszy, następujący projekt. Proponuję, by specjalna komisja, złożona z architektów, publicystów i zainteresowanych, ukonstytuowała kilka nowych instytucji. Jeżeli mamy już być tacy realistyczni, no, to proponuję założenie:

INSTYTUTU PORAD CHULIGANSKICH (jak chuliganić, ale w miarę).

OGRODKÓW DZIAŁKOWYCH DLA PIJAKÓW (pijcie, by... na swoich) tudzież kilku innych imprez reformistycznych. Humanistycznie. Nie średniowiecznie. Realistycznie.

Bo co to jest człowiek? Człowiek to taki żalony stwórek, któremu trzeba udzielać dyspensy. Jednej za drugą. Jednej za drugą.

„Kłękni przed Bocheńskim, a potem bracie, rób to i owo. Legalnie”.

Czy tak?

Stanisław Grochowiak